**Nr. 49.** Warszawa, dnia 3 Grudnia (21 Listopada) 1892 r. **Rok XII.**

# PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY“**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejs Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.**
**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.



## POLITYKA.

### PRUJE SIĘ...

Dosyć znać troszeczkę etnografii, ażeby rozumieć dokładnie przyczyny, które nie pozwalają być Austryi państwem silnie zwartem, lecz przeciwnie sprawiają, że ona za lada silniejszem dotknięciem rozluźnia się w swych spojeniach i wiązaniach. Tu niemcy, tam węgrzy, polacy, czesi, chorwaci, słowieńcy itd., a wszystko to żyje i żyć pragnie, walczy, burzy się, a przedewszystkiem rozbija sztuczny zlepek różnorodnych i niepogodzonych z sobą żywiołów. Naczelnym ministrom Austryi wskazywano rozmaite sposoby i dawano rady, mające skutecznie zapobiedz wewnętrznemu jej rozprzęganiu się. Naszem zdaniem, nie narodzi się taki genialny polityk, któryby zdołał w niej zaprowadzić trwałą harmonię i zdobył się na coś więcej, niż na zręczne balansowanie i odwlekanie rozkładu. Tę najwyższą miarę sztuki i mądrości posiada hr. Taaffe, który przez kilkanaście lat utrzymuje i przywraca ciągle nadwyrężoną równowagę. Ale i on naturalnie robi to tylko, co można: dzierga siatkę, która mu się ustawicznie pruje. Jak wiadomo, w ostatnich czasach zaprzągł do rydwanu większości rządowej liberałów niemieckich, którzy mieli go ciągnąć łącznie z konserwatystami innych narodowości. Ani on sam, ani nikt nie łudził się, ażeby to skojarzenie potrwało długo, ale też nie przypuszczano, ażeby ono rozlazło się tak szybko. Gdy ks. Schwarzenberg, feodał czeski, wystąpił w parlamencie z uznaniem dla wymagań czeskich w zakresie „praw historycznych,“ hr. Taaffe oświadczył, że rząd myśli o pewnem uwzględnieniu ich i wkrótce obsadzi opróżnione po Prażaku stanowisko osobnego ministra dla Czech. To w gruncie rzeczy dość skromne ustępstwo tak wzburzyło niemców, że postanowili przejść do opozycyi. Narada przewodników stronnictw, mająca na celu zlepienie zgody, nie osiągnęła rezultatu i nie ułagodziła rozjątrzonych, którzy odeszli z mocnem postanowieniem podjęcia walki. Tym sposobem niedawno zszyta większość rządowa w parlamencie znowu rozpruła się i hr. Taaffe musi sfastrygować sobie inną albo dotychczasową zczepić jakkolwiek. Przypuszczamy, że mu się uda, ale nawet najszybsze powodzenie nie zmieni następujących faktów, które z każdym dniem coraz bardziej się uwydatniają, mianowicie: że rząd austryacki musi żyć ciągłym handlem z rozmaitemi stronnictwami; że wszelka jego większość posiada wartość chwilową i szybko pęka; że czesi coraz bardziej wbijają się klinem w państwo, któremu grożą rozłupaniem i że niemcy nie widzą przez swoje zadarte nosy pewnych konieczności, które niechybnie spełnić się muszą w Austryi na ich niekorzyść. Im ciągle majaczą w głowach wspomnienia o „pięknych dniach Aranjuezu,“ minionych bezpowrotnie. Pomimo tylu doświadczeń, zawodów, rozczarowań, wreszcie wyraźnych wskazówek rzeczywistości, nie przestają oni uważać czechów i innych ludów słowiańskich za motłoch polityczny, który nie może i nie powinien domagać się równouprawnienia i wogóle stawać na jednym z nimi gruncie. Idea wskrzeszenia korony czeskiej, nawet jako tytułu monarchy austryackiego, jest w ich przekonaniu zuchwalstwem garści warchołów, bezczelną mrzonką — „zdradą stanu“ — jak się wyraził Menger. Jakto, ten plebs, który został przez nich zduszony i przegrał wiele procesów na czartowskich sądach, miałby stanąć na jednym stopniu z synami Germanii? Tego oni pojąć nie mogą.

A jednak według wszelkiego prawdopodobieństwa kiedyś pojmą tę nieuniknioną zmianę losów, której nie odwrócą parlamentarne dąsy i „stawania w opozycyi.“

## DEPESZA EMSKA.

Nie będziemy badali, jakie pobudki kierują postępowaniem ex-majordoma, czy zatem działa w nim uwiąd starczy mózgu, czy też prosta chęć dokuczenia obecnym sternikom niemieckiej nawy państwowej i przypomnienia swoich zasług; dość, że „Herkules naszego wieku“ staje się coraz większym gadułą i w zacietrzewieniu zdradza tajemnice, dotychczas starannie ukrywane. Mamy na myśli między innemi dzieje sławnej depeszy emskiej z r. 1870 która spowodowała wojnę niemiecko-francuską. Wojna ta nosi po dziś dzień w języku patryotyczno-urzędowym miano „świętych zapasów,“ a dziatwa w szkołach kuje na pamięć całą wiązankę opowieści, jak sąsiad z za Renu czyhał od lat wielu na duszę niemiecką, jak zbroił siebie i innych przeciwko dobrodusznemu Michelowi, jak wreszcie, ufny w swoją gwiazdę, wypowiedział wojnę miłującemu spokój. Ale ponieważ jest jeszcze sprawiedliwość na ziemi i niebie, więc złoczyńca został ukarany, dzięki genialnym głowom, stojącym na czele Niemiec, i dzielności synów ojczyzny; ażeby zaś odjąć mu chęć do dalszych łotrostw, trzeba było mu odciąć dwa kawały nadreńskie... Tak przedstawia się według podręczników „epopea“ 1870—1871. Najmniejszy zamach na tę legendę utożsamiano ze zdradą krajów, jak to zdarzyło się z Liebknechtem, który już w r. 1873 usiłował odsłonić tajemnice świętej wojny. I oto teraz wielki Otto, ów patryota nad patryotami, według którego woli i wskazówek układano owe podręczniki szkolne, wyciąga rękę, aby obedrzeć z uroku bajkę o poczciwym Michelu i zepchnąć ją do rzędu banialuk, opowiadanych głupiutkiej dziatwie! Z jakich pobudek to czyni? Wprawdzie zmniejszając Wilhelma I i czyniąc zeń władcę słomianego, wywyższa własną swą postać, lecz jednocześnie świadczy, że „wielki wódz niemców“ nie gardził kłamstwem i brutalnym podstępem. Całą doniosłość tych wyznań dobrze zrozumiano; to też obecny kanclerz w swojej mowie sejmowej wystąpił z obroną zagrożonej dynastyi Hohenzollernów. Bismark jednak wciąż brnie dalej w swoich wynurzeniach nie zważając na to, że siebie samego tarza w błocie i zarazem szarga dawnego swego pana, którego szczególnie umiłował. Co ważniejsza, daje

broń do rąk swoim największym przeciwnikom, mianowicie demokracyi społecznej, która od lat 20 dowodzi, że depeszę emską sfałszowano, mimo że opłaciła tę upartą szczerość dość znacznemi karami sądowemi.

Zatrzymajmy się nad sprawą. Czarakteryzuje ona nie tylko ludzi, ale i czasy.

Przebieg kampanii francusko-niemieckiej już na pierwszy rzut oka przedstawia się osobliwie. Francya wypowiada wojnę, a tymczasem okazuje się, że brak jej wszystkiego. Sama walka jest jakgdyby tryumfalnym pochodem armii niemieckiej. Zwycięztwo po zwycięztwie otwiera jej drogę coraz dalej w głąb kraju nieprzyjacielskiego, a poddanie się Paryża wieńczy dzieło. Ileż z tego powodu posypało się urągań dla oficerów francuskich, nieznających nawet geografii kraju rodzinnego, ileż to pochwał otrzymał bakałarz pruski, który niby był ojcem chrzestnym wiedzy niemieckiej! Podjęte przez sztab generalny w r. 1873 wydawnictwo dziejów „świętej wojny“ dorzuciło do powyższych faktów nową wiązankę i jednocześnie dało pobudkę do pierwszych zwątpień o pokojowości rządu niemieckiego i drapieżności wielkiego *souteneura*, jakim był Napoleon III. Kiedy ten udał się do armii, ani jeden korpus wojska nie był należycie zorganizowany, ani jeden nie gotów do działalności nie tylko zaczepnej, ale nawet odpornej. Oddziały, które winny były wystąpić do boju, znajdowały się porozstawiane w olbrzymiej od siebie odległości, a w głównym zarządzie niekiedy nie wiedziano, gdzie się ten lub ów batalion znajduje! Położenie np. Metza—według oświadczeń gen. Coffinieres w chwili rozpoczęcia wojny — umożliwiło tej warowni jedynie dwutygodniowy opór. Zaiste, tylko idyoci w takich warunkach mogli rozpoczynać kamanię. Tymczasem przypatrzmy się stronie przeciwnej. Wszystko tutaj idzie jak po maśle; plan został opracowany już w roku 1868—9; wojska oddawna stoją na pograniczu, gotowe do wymarszu.

Są to fakty, podane, pamiętajmy, przez sztab generalny niemiecki. Świadczą one wymownie o zupełnem nieprzygotowaniu się ze strony Francyi, o wszelkiej zaś gotowości u przeciwników. Mimowoli nasuwa się wniosek, że Francya, jeśli wypowiedziała wojnę, zrobiła to wbrew swojej woli, wwikłana w pajęczynę dyplomatyczną przez wroga. Nadto już wtedy, w r. 1873, znane były wyznania Benedettiego, owego niefortunnego posła, który jakoby swojem zachowaniem się obraźliwem zniewolił władcę pruskiego do odmowy posłuchania, a który w kilka dni po ogłoszeniu wojny oświadczył, że przyisywane mu postępki są kłamstwem, oraz ks. Radziwiłła, adjutanta królewskiego, który również twierdził, że sprawa była już załatwioną, gdy całkiem niespodziewanie ukazała się depesza, zwiastująca treścią swoją konieczność orężnego starcia. Na podstawie tych dokumentów powien dziennik demokratyczny w r. 1873 dowodził, że nie Francya, ale Niemcy wypowiedziały faktycznie wojnę, chociaż pozornie wyglądało inaczej, oraz że cała sprawa zaproszenia jednego z Hohenzollernów na tron hiszpański, która dała powód do wymiany not dyplomatycznych, była z góry ukartowaną intrygą. Prasa, zwłaszcza narodowo-liberalna, odparła te wywody gwałtownem oburzeniem. Na zdrajców ojczyzny posypały się gromy. I najgłośniej wrzeszczało pismactwo gadzinowe, odbierające rozkazy z kancelaryi kanclerskiej. Wreszcie głos prawdy utonął wśród krzyków. Zwolna jednak wydobywano ją z drugiej strony. Okazało się, że w d. 13 lipca kierownicy rządu francuskiego zostali jak piorunem rażeni. Agenci tajni przy dworach zagranicznych z kilku miejsc nadesłali doniesienia, iż rządy europejskie otrzymały depeszę z Niemiec, głoszącą, iż król pruski odmówił przyjęcia posła francuskiego i uwiadomił go przez swego adjutanta, że niema z nim nic więcej do mówienia. W tej fałdzie kryć się mogła tylko wojna. Rząd francuski znajdował się jakby na rozżarzonych węglach. Niedawno zarządzony plebiscyt dał mu 7 milionów głosów przeciw półtora. Rezultat był fatalny, zwłaszcza jeśli dodamy, iż trzy miliony powstrzymały się od głosowania. A zatem mimo nacisku maszyny państwowej, $1\frac{1}{2}$ mil. miało odwagę wypowiedzieć swoją niechęć — jawnie, otwarcie, bez ogródek! A nadto setki tysięcy z pośród tych głosów wyszły z łona Paryża, który rozstrzyga, kto ma rządzić krajem. Otóż połknięcie obrazy byłoby skazaniem się na zgubę. Wojna z Niemcami, albo barykady w Paryżu! Innego wyjścia nie było. Po otrzymaniu wiadomości od tajnych agentów, Paryż żąda pomszczenia honoru, a po przez ulicę słychać krzyki: do Berlina! Gabinet traci głowę, a Izba uchwala wojnę. Tymczasem rada ministrów dostaje następnego dnia depeszę od Benedettiego, że został przyjęty przez króla pruskiego, który obiecał, że sprawa będzie załatwiona ostatecznie zwykłą drogą. I gdyby nie zamieszanie wśród członków gabinetu, skutkiem czego depeszy tej natychmiast nie odczytano w Izbie, unikniętoby starcia. Atoli pozostała ona nieznaną obradującym deputowanym, a ogłoszona przez dzienniki zagraniczne „depesza emska“ była podstawą rozpraw. Widocznem jest, że jakaś ręka rozporządziła się bez wiedzy króla pruskiego. Podejrzywano jej właściciela, atoli dopiero we wspomnieniach generała v. Roona wypłynęła na wierzch prawda, że depesza emska narodziła się — w Berlinie, w mieszkaniu Bismarka. I znowu prasa demokratyczna uchwyciła tę nić i znowu ze strony organów gadzinowych posypały się złorzeczenia. Liebknecht swoją przenikliwość opłacił grzywną 360 marek. Częściowe odsłonięcia tajemnicy wciąż się powtarzały. Sprawa depeszy emskiej została postawiona tak, że uznawanie sfałszowania jej oznaczało tryumf wrogów państwa i porażkę rządu.

Po tem wyjaśnieniu możemy ocenić świeży postępek ex-majordoma. W rozmowie z pewnym dziennikarzem przyznał się, że on to redagował w Berlinie depeszę emską i w taki sposób poprzekreślał jedne a wpisał inne wyrazy do wiadomości, przesłanej mu z Ems przez króla. Śród wywołanej zgrozy Bismark niettylko nie czuje strachu, lecz idzie jeszcze dalej. Zdziera on aureolę z Wilhelma I i dynastyi Hohenzollernów; niweczy legendę o świętej wojnie, o genialności wodzów i dzielności żołnierzy, co więcej, wystawia im nieszczególne świadectwo, kiedy mimo wpadnięcia w pułapkę Francya zdołała jeszcze się bronić tak długo; podrywa wszelką wiarę w źródła urzędowe i w prawdomówność podręczników szkolnych; rozwój Niemiec przedstawia jako owoc podejść i kłamstw, a wreszcie przyznaje słuszność żywiołom przewrotnym, które od lat 20 używają depeszy emskiej jako taranu w walce. Wszakże mimo gadulstwa ex-majordom wie, co robi. Na gruzach strąconych bohaterów podręcznikowych, na poderwanej dzielności i mądrości Hohenzollernów wyrasta tem potężniej postać jego, jako jedynego sprawcy tryumfów sedańskich i zjednoczenia Niemiec. „Wielki Otto“ pozostał czem był — olbrzymem sobkostwa, który gotów świat cały strącić w przepaść, byleby sam został na widowni.

*J. W.*

---

2)

# BANKRUTKA.

## Obrazek.

Ostre, zająkliwe chrapanie ojca wyrwało ją z rozmyślań.

Wstała, próbując przejść się trochę, aby miarowym ruchem rozgrzać zziębnięte członki.

Dziwnego doznawała wrażenia: w głowie jej szumiało; tętno krwi, pulsującej w skroniach, ogłuszało ją formalnie, a jednak mózg jej działał uporczywie. Nigdy tyle myśli nie napływało jej do głowy, ile w tej chwili, kiedy tak strasznie czuła się zmęczoną.

— Dziwnie świat ten urządzony — rozumowała, zatrzymując się chwilami w wędrówce swej wzdłuż pokoju. Jedni rodzą się dla szczęścia, dla używania w całej pełni tego, co nazywamy rozkoszą życia. Inni — cierpią od pierwszego stąpnięcia na czarną, brudną ziemię, która nigdy nie błyśnie dla nich urokiem bogactw. Jednakże słuszność mają ci, co twierdzą, iż człowiek przywyka z czasem do każdego położenia, przystosowując się do wszelkich warunków bytu. Biedny marzy o zdobyciu kawałka chleba tak, jak bogacz o wygraniu premiowego obrazu wielkiego mistrza. Kto wie wszakże, czy wywalczony nakładem ciężkiej pracy kęs chleba nie sprawia biedakowi większej uciechy, aniżeli Rotschildowi zawieszenie na ścianie galeryi swojej rozsławionego dzieła sztuki?

Nędzarz, nie licząc na żadną uciechę życia, uważa chleb powszedni za kres pragnień swoich; magnat sięga wolą i żądzami coraz wyżej, aż zachcianki jego rozbiją się o granice niemożliwości.

Wówczas, pełen niechęci, wzgardzi majątkiem swoim. Opanuje go przesyt, nieznany nędzarzowi.

Kto więc szczęśliwszy: czy ten, co pragnień już nie ma, czy ten, co ich zaspokoić nie może?

Chodząc po pokoju i zapuszczając się w coraz głębsze wnioski rozumowania, Helena podobną była do lunatyczki, którą promień księżyca wodzi za sobą. Oczy jej, otwarte, nie odbijały wrażeń świata zewnętrznego; osadzone w orbitach swych nieruchomie, skierowane były na coś dalekiego, coś, co mieściło się po za przestrzenią nizkich ścian facyatki.

Myśli jej wirowały coraz szybciej. Świtało już na dobre. Perłowo szary brzask zimowego ranka wsuwał się przez szyby małego okienka do wnętrza ciasnej izdebki.

Tośka, zbudzona chrapaniem dziadka, wychyliła z pod kołderki jasną swoją główkę. Spojrzawszy zaspanemi niebieskiemi oczami w stronę Heleny, spytała:

— Mama jeszcze nie śpi? To i ja wstanę; będę chodziła z mamusią!

Zegar z sąsiedztwa wydzwonił szóstą.

Helena podbiegła szybko do stołu. Jeszcze tylko godzina pozostawała jej do pracy. Trzeba było spieszyć się, aby do siódmej przepisać trzy zbywające arkusze.

Wzięła pióro w rękę: palce jej drżały, jak przedtem; do głowy napływał war krwi; serce uderzało gwałtownie; w oczach miała oślepiającą jasność.

Płomień lampy, przy której pisała, zgasł oddawna, lecz ona widziała go ciągle w tysiącznych odbiciach, jak przełamany w pryzmie.

Coś nadzwyczajnego działo się z nią. Ciężar głowy i ramion, ból, jaki przed chwilą miała w piersiach, zniknął zupełnie. Czuła się lekką, odrodzoną. Myśl jej zaczęła krążyć chaotycznie, bez związku; nie sprawiało jej to jednak przykrości. Dziwaczne obrazy migały przed wzrokiem jej, nakształt chińskich cieni, lecz nie budziło to w niej strachu.

Zegar za cienkiem przepierzeniem ściany wydzwonił kwadrans po szóstej.

Tak późno już było: tyle czasu zeszło jej na próżnej mitrędze.

## SPRAWY FRANCUSKIE.

Panama. — Bezrobocie w Carmaux. — Prawo przeciw prasie. — Traktat ze Szwajcaryą. — Reforma podatku z alkoholu.

*Alea jacta est.* Ferdynand Lesseps, Eiffel — ludzie europejskiej sławy, niedawno chwała Francyi — i trzej drobniejsi administratorowie towarzystwa panamskiego oddani zostali pod sąd. Bankructwo ogłoszone zostało jeszcze przed dwoma laty, ale przez wzgląd na potężnych dyrektorów sądy milczały, jakkolwiek setki milionów franków, uciułanych przez drobną oszczędność, zginęły w tym krachu, który był sprawą bandy oszustów, przykrytych pobłażliwym cieniem Lessepsa. Długo ociągano się z wymiarem sprawiedliwości i główni przedstawiciele rządu byli mu wciąż przeciwni — trzeba było dopiero odwagi jednego z jego członków, Ricarda, ministra sprawiedliwości, który d. 16 listopada oświadczył na radzie ministrów, iż na własną swą odpowiedzialność kazał przystąpić do śledztwa sądowego w tej sprawie. „Oświadczenie to — powiadają dzienniki — przyjęte zostało grobowem milczeniem. Tylko prezydent zauważył, iż ponieważ Ricard postąpił na własną odpowiedzialność i w granicach swej władzy, więc pozostaje tylko przyjąć jego oświadczenie." Był to krok, który w zupełności przystoi ministrowi sprawiedliwości *). Sprawa ta nazbyt wzburzyła opinię publiczną, zrujnowała zbyt wielu biedaków i wyniosła do zaszczytu i bogactw zbyt wielu oszustów i łotrów, aby można ją było pocichu zadusić, jak tego chcieli ludzie znajdujący się u steru, w obawie skandalu, a może i czegoś więcej, bo trudno podobno znaleźć obecnie we Francyi człowieka mniej więcej wpływowego, któryby w kasach Panamy rąk nie maczał... Nie wszystkie oszustwa mogą być ominięte umyślnem milczeniem władzy: opinia domagała się światła i obecnie przyklaskuje śmiałemu czynowi ministra sprawiedliwości, który oddał w ręce prawa złodziei grosza publicznego. Strach pomyśleć, jakie będą skutki tego procesu, ile tu brudnych handlów i sromotnych szachrajstw wylezie na jaw, a potok błota tryśnie pewno z bagien finansowych aż na ławy parlamentu. Rozprawy sądowe, które się wkrótce rozpoczną, będą miały prawdopodobnie bolesny odgłos po za granicami kraju, wrogowie zaś obecnego ustroju skorzystają z tej sprawy, w której zbyt wiele imion politycznych i „ozdób" społeczeństwa będzie zamieszanych, aby z niej wytoczyć proces demokracyi francuskiej wogóle. Przyszłe wybory odbywać się znowu będą, jak za czasów Wilsona, pod hasłem: „precz ze złodziejami!" Nic dziwnego, że ludzie w rodzaju Freycineta i Ribota powstrzymali się z udzieleniem swego głosu i sankcyi czynowi ministra sprawiedliwości. Jest to rzeczywiście jeszcze jedna i bardzo smutna próba dla Rzeczpospolitej, ale stronicy jej mogą się pocieszać tem przynajmniej, że pod żadnym innym ustrojem Francyi ręka prawa nie doścignęłaby tak wysoko postawionych złoczyńców: sięgnęła ona niedawno aż do pałacu Elizejskiego, obecnie przenika do parlamentu, giełdy i chwyta takich mocarzów, jak Lesseps lub Eiffel. Wrogowie Rzeczpospolitej nie będą mogli przynajmniej powiedzieć, iż sprawiedliwość ostra dla biednych i maluczkich, stała się łagodna i pobłażliwa dla potężnych i bogatych. Niepokój w sferach parlamentarnych i finansowych przybrał rozmiary niesłychane, gdyż nietylko bezpośrednio zainteresowani mają być pociągnięci do odpowiedzialności, ale i ci, którym się udało przykryć swój udział w oszustwach pod zręcznemi formułkami. Nie będzie w tem nic dziwnego, jeżeli rząd pozwoli się obalić przy takiem położeniu rzeczy na lada jakiej kwestyi, zwłaszcza że oszczerstwo już zaczyna toczyć swój jad: nie oszczędza ono nawet Freycineta, który odpowiedział pogardliwem milczeniem na zarzut, iż czerpał z kas Panamy na potrzeby swego ministeryum.

Jeżeli gabinet upadnie, to z własnej woli, gdyż jest tak silny, że wybrnął z wielkiego niebezpieczeństwa, w jakie go wtrąciło bezrobocie w Carmaux. W gminie tej znajdują się wielkie kopalnie węgla, należące do kompanii akcyjnej, której dyrektorem jest baron Reille, deputowany monarchiczny. Górnicy wybrali sobie w maju r. b. na mera jednego ze swych towarzyszów, Calvaignaca, co nadzwyczaj się nie podobało dyrekcyi kopalni, gdyż dawniej mianowała na ten urząd ludzi swego wyboru. Baron Reille nie omieszkał wymówić miejsca Calvaignac'owi pod pozorem, iż sprawowanie urzędu publicznego nie pozwoli mu regularnie odbywać pracy w kopalni. A ponieważ merowie nie otrzymują we Francyi pensyi, więc Calvaignac postawiony był przed następującą alternatywą: albo zrzec się urzędu, który mu towarzysze powierzyli i nadal pracować w kopalni, albo też przyjąć urząd i umierać z głodu. Baron Reille tworzył w ten sposób zarazem bardzo niebezpieczny precedens, który pozbawiał robotników wszelkiej możności sprawowania urzędów publicznych. Z tego kłopotu wyprowadzili Calvaignaca towarzysze jego, górnicy, zawiesiwszy pracę. Bezrobocie to, wywołane powodami czysto politycznymi, silnie wzburzyło opinię publiczną we Francyi przez cały czas swego trwania. Domagano się, aby za wszelką cenę i jaknajprędzej zakończone zostało, zwłaszcza że przyszło w Carmaux do kilku starć pomiędzy górnikami a wojskiem, zakończonych aresztowaniem kilkunastu niespokojnych, którzy przez sądy skazani zostali na trzymiesięczne więzienie. Robotnicy postawili następujące warunki dla swego przystąpienia do pracy: 1) żeby Calvaignac napowrót przez kompanię przyjęty został; 2) żeby towarzysze aresztowani wypuszczeni zostali i otrzymali napowrót robotę i 3) żeby inżenier Humblot, odznaczający się nieludzkiem postępowaniem, zrzucony został z urzędu. Za wstawieniem się rządu baron Reille, po długich namysłach, zgodził się na sąd polubowny, przyczem na superarbitra przez obie strony wybrany został prezydent ministrów. Loubet rozstrzygnął sprawę w ten sposób, iż Calvaignac miał być napowrót przyjęty przez kompanię, która uwalniać go będzie na czas spełniania obowiązków publicznych; natomiast dwa drugie żądania robotników odrzucił. Ci zaczęli się domagać, żeby przynajmniej drugie jeszcze wykonane zostało i postawili to za ostateczny warunek przystąpienia do pracy. Po długich namysłach rząd przychylił się i do tego wymagania, aby uśmierzyć wzburzone umysły. I wszystko powróciło już do normalnego trybu, gdy naraz anarchiści wystąpili ze swą spóźnioną zemstą przeciw baronowi Reille, która zresztą dotknęła sześć zupełnie niewinnych osób. To barbarzyństwo wprawiło rząd w wielką panikę, pod wpływem której wygotowano naprędce prawo przeciw prasie, a mianowicie przeciw nawoływaniu ku kradzieży, zabójstwom itp. przestępstwom. Jakkolwiek prawo to skierowane jest wyłącznie przeciw anarchistom, jest ono wszakże dość rozciągłe, aby mogło dosięgnąć dziennikarzy wogóle. Sądzono, iż nie przejdzie. Stało się jednak inaczej: mini-

*) Porówn. „Tydzień polit." *Red.*

---

Przysunęła przed siebie jaknajbliżej zeszyt, z którego przepisywała.

Nie mogła jednak nic dojrzeć. Litery skakały w jej oczach. Każdy czarny znaczek przemieniał się w jaskrawo żółty płomyk lampy, oddawna już zgasłej. Wszystkie razem tańczyły, biegały przed nią, otaczając ją kołem, śmiejąc się do niej.

Ona też miała ochotę śmiać się. Dziwnie jej było wesoło, jakkolwiek drżała całem ciałem i w piersiach uczuwała mrożącą bryłę lodu.

Odsunęła krzesło z hałasem. Nagła energia wstąpiła w nią. Postanowiła zbudzić dzieci i zacząć dzień ten wcześniej, niż zwykle.

Podniosła się, postąpiła kilka kroków naprzód: płomyki światła zadrgały przed nią, w głowie uczuła zamęt, w stopach omdlenie. Wyciągnąwszy ręce przed siebie, padła twarzą ku ziemi...

Słoneczny ranek zimowy i zbudzone ze snu dzieci zastały ją leżącą nieprzytomnie. Głowę miała rozpaloną, oczy pałające, jak dwie rozżarzone iskry, utkwione w coś dalekiego, coś, co musiało istnieć za przestrzenią ciasnej, niskiej facyatki. Sine, spieczone usta szeptały niewyraźnie:

— Wody, wody!..

Tośka, rzuciwszy się do rąk matki, płakała głośno.

— Nie umieraj, nie umieraj! — wołała przez łzy.

Władek siedział w kącie za piecem, patrząc przed siebie ponuro; Józik sam jeden tylko działał energicznie. Wezwawszy sąsiadkę, właścicielkę sklepiku na dole, panią Marcinową, za jej pomocą przeniósł matkę na łóżko i pobiegł po doktora.

Dziadek, głodny, zawodził przeraźliwe jęki. Usiłując przytem daremnie podnieść bezwładną głowę z poduszki, połyskiwał co chwila białkami wypłowiałych, szarych oczów o wejrzeniu trupa.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Zima minęła, uniósłszy z sobą krótkie dni ponure. Niebo zagrało tysiącem barw zmiennych, rzucając w powietrze śmiech wiosny.

Helena po długiej, upartej chorobie pierwszy raz podniosła się na łóżku.

Słońce wązką smugą wpadało przez otwarte okno izdebki poddasza. Drgające blaski odrzynały się wyraziście od cieni w głębi pokoju, skąd sześć tygodni temu dochodziły jęki sparaliżowanego starca, a gdzie dziś było pusto zupełnie.

Helena, wodząc powoli oczami dokoła, utkwiła wzrok w ów ciemny pusty kąt.

W źrenicach jej zadrgało pytanie, którego nie umiała sformułować. Zmęczona długiem wpatrywaniem się w jeden punkt, odwróciła głowę powoli, aby znowu chwilę potem skierować oczy na ciemną, niczem niezastawioną ścianę.

Była bardzo osłabiona. Kilka niewyraźnych obrazów plątało się w jej umyśle, znieczulonym długotrwałą gorączką.

Z kąta za szafą na palcach wysunęła się Tośka; spostrzegłszy matkę siedzącą, stanęła przy łóżku nieśmiała, jak gdyby czemś zawstydzona. Niebieskie jej oczy z ciekawością patrzyły na woskowo żółtą twarz Heleny, o zapadłych policzkach i sinych wargach.

— Gdzie dziadzio? — spytała chora po długiej chwili, w czasie której wzrok jej wpił się nieledwie w pustą ścianę.

— Dziadzio — odpowiedziała Tośka, spuściwszy oczy w zakłopotaniu — dziadzio umarł niedługo potem, jak mamusia zachorowała. Wynieśli go stąd ludzie, ale ta pani, co tu była przy mamusi ciągle, nie mi nie pozwoliła mówić o tem...

Helena czuła wielkie zmęczenie. Doznawała przytem wrażenia, jak gdyby nie ona sama, a ktoś wewnątrz niej za nią myślał; jak gdyby pytania, które zaczęły krążyć w jej umyśle, były podszeptywane przez kogoś, co nagle w niej się obudził, podczas gdy ona sama spała jeszcze mocno, bardzo mocno.

Całym ciężarem ramion i głowy opadła napowrót na poduszki. Oczy jej błądziły to po belkach sufitu, to po skośnych ścianach

steryum wyszło zwycięzko z tej próby. Obecnie wszakże grozi mu jeszcze jedna skała podwodna, o którą nawa jego może się rozbić. A mianowicie gabinet zawarł podczas wakacyj parlamentarnych traktat handlowy ze Szwajcaryą, w którym poczynił jej znaczne ustępstwa w kierunku wolnohandlowym; korzystał on ze swego prawa konstytucyjnego, ale mimo to jednak protekcyoniści, mający w Izbie większość, na pewno zechcą się zemścić. Nie przyjmują oni pod uwagę nawet tego względu, iż swemi ustępstwami rząd miał na widoku zdobycie sobie sympatyi politycznej kraju, który, bądź co bądź, znajduje się na jednej z granic Francyi. Protekcyoniści mogą wywrzeć swą zemstę na reformie podatków z alkoholu, proponowanej przez Doumera, który zmniejsza je o 90 mil. fr. rocznie. Minister finansów na reformę tę się nie zgadza. Jeżeli więc rząd zechce upaść, to powodów mu nie zabraknie.

*Eipon*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dziwny obrót przyjęła sprawa panamska. Ten sam minister (sprawiedliwości), który ją właściwie wyprowadził przed sąd państwa i sumienia publicznego, który za tę „przerażającą" odwagę zyskał poklask wszystkich rąk niesplamionych łapówkami, ten sam bohater oparł się zbyt energicznemu poszukiwaniu prawdy i spowodował upadek całego ministeryum. Czyżby Ricard przestraszył się własnej śmiałości? Jak wspominieliśmy dawniej, Izba deputowanych wybrała komisyę parlamentarną, mającą sprawdzić słuszność zarzutów co do oskarżonych o przekupstwo swych członków. Komisya ta, której przewodniczy Brisson, znalazła się istotnie w dziwnem położeniu: nie posiada żadnych środków do przeprowadzenia śledztwa, nie może przejrzeć dowodów w sądzie, niektórzy z wezwanych odmówili jej swoich zeznań, słowem, polecono jej wykryć prawdę i zagrodzono do niej wszystkie drogi. Widząc swą bezsilność, zaczęła domagać się od rządu, ażeby dla niej odsunął rozmaite rygle i baryery. Po wytoczeniu procesu panamskiego umarł nagle baron Reinach, według głosu powszechnego główny pośrednik w przekupywaniu posłów, senatorów i ministrów. Pomimo że ta jego rola była znana, pomimo że zbudziło się mocne podejrzenie samobójstwa, rząd nie kazał zrobić sekcyi i opieczętować papierów po nieboszczyku, którego pochowano bez oględzin. Gdy komisya parlamentarna zażądała, ażeby dokonano exhumacyi zwłok i rewizyi papierów, ów śmiały, nieustraszony minister sprawiedliwości stanął pomiędzy nią a zagadkową trumną z rozkrzyżowanemi rękami, broniąc „świętości grobu w imię praw obywatelskich." Przyjęto jego uroczystą mowę szyderczym śmiechem, a gdy prezes gabinetu przybiegł koledze z pomocą, Izba zagłosowała taki porządek dzienny, po którym całe ministeryum musiało podać się do dymisyi. Kto i kiedy utworzy nowe — dotychczas nie wiadomo. W obecnych warunkach nie wielu znajdzie się amatorów. Do zwykłych, stałych trudności, spoczywających w stosunkach ze zmienną i burzliwą Izbą, przybył obowiązek wycięcia tak olbrzymiego i potwornego raka, jakim jest sprawa panamska, której każdy dzień dodaje nowe rozmiary i nowe szkarady. Dość powiedzieć, że według sędziego śledczego, zeznającego przed komisyą parlamentarną, zmarły minister robót publicznych, Berbe, dostał łapówki 500,000 fr., że sam Reinach rozdał 9,800,000 fr. i że wogóle „obrabianie opinii publicznej" kosztowało około 83 milionów, które pożarło 600 osób! Przedajność niebywała!

Projekt wojskowy w sejmie niemieckim wciąż jeszcze stoi wobec niepewnych losów. Jedyny promyczek nadziei zaświtał mu we wniosku centrum, które zażądało... powrotu jezuitów. Teraz Caprivi przynajmniej wie, za jaką cenę mógłby sobie kupić głosy stronnictwa katolickiego, któreby mu zapewniły stanowcze zwycięztwo. Czy na ten handel zamienny się zgodzi — to inna kwestya. Bo ofiarowana mu do połknięcia pigułka nie tyle jest szkodliwa, ile gorzka i wstrętna. Jezuici nie zburzą państwa niemieckiego, ale zakon ten budzi instynktowną odrazę wszędzie, a zwłaszcza w protestanckich Niemczech. Jeżeli kanclerz zawrze układ, powie zapewne grupom opozycyjnym: nie chcieliście mi dać więcej wojska, przyjmijcie za to jezuitów.

Mowa tronowa króla Humberta przy otwarciu parlamentu, którą zakończył hołdem dla ojca jako twórcy zjednoczenia Włoch i nadzieją dla siebie, że zdoła połączyć swe imię z podniesieniem ekonomicznem i kulturalnem kraju, wywołała nadzwyczajny entuzyazm, który rozbrzmiewa dotąd echem w całej Italii. Czy jednakże Humbert połączy swe imię z poprawą jej stanu ekonomicznego—to jest bardzo wątpliwe.

Umarł kardynał Lavigerie, wsławiony swą działalnością w sprawie zniesienia afrykańskiego handlu niewolnikami oraz pogodzeniem papieża z Rzeczpospolitą francuską.

## BADANIA NAUKOWE.

### ZWIERZĘTA WOBEC PRAWA I SĄDU.

I.

Do najciekawszych zjawisk w dziedzinie historyi prawa należą niewątpliwie przepisy, według których na rozmaite zwierzęta wymierzano kary za szkody przez nie zrządzane, oraz poddawano je procedurze, mającej wszelkie cechy publicznego postępowania kryminalnego. Przedstawiciele władzy państwowej zlecali właściwemu organowi egzekucyjnemu, katowi, wykonywanie na zwierzętach kary powieszenia, zakopania żywcem lub spalenia, przyczem zachowywano też same uroczyste a drobiazgowe formy, jakie towarzyszyły wykonywaniu wyroków śmierci na ludziach. Władza duchowna wyrzekała przeciwko zwierzętom klątwę kościelną. Ta ostatnia zaś następowała podług tych samych zasad, jakich przestrzegano względem rzeczywistych członków kościoła, podobnież jak z drugiej strony karę śmierci poprzedzał zawsze formalny wyrok wydany przeciwko zwierzęciu przez właściwy sąd świecki. Tak jeden, jak i drugi wyrok znów stanowił tylko ostatni akt uporządkowanego postępowania sądowego. Mianowicie widzimy w niem zwierzę traktowane zupełnie niby strona w procesie — zostaje ono zaskarżone, pociągnięte do odpowiedzialności i ma obrońcę z urzędu. W wypadkach, w których procedura pomiędzy ludźmi bywała piśmienna, mogła ona i w sprawach przeciwko zwierzętom wymagać dziesiątków podań i replik oraz tyluż terminów — nie licząc ocznych konfrontacyj — a następstwem tego było, że przy szybkim nawet wymiarze sprawiedliwości rzecz przeciągała się na lata. Tego rodzaju postępowanie przeciwko zwierzę-

---

z których każda wydawała się jej jakaś inna, aniżeli dawniej.

Pusto było w mieszkaniu.

— Gdzie popodziewały się rzeczy, które tu stały? — spytała Tośkę takim cichym, bezdźwięcznym szeptem, że dziecko słów jej nie usłyszało.

Pytanie to, jak i wszystkie inne, podsunął jej ten ktoś, co za nią myślał. Ona sama nic nie chciała wiedzieć: była spokojna, zadrzemana.

Tośka ośmielała się w miarę, im dłużej stała przy matce. Posuwając się powoli, całą swą maleńką, drobną i szczupłą postacią na krawędź łóżka, usiadła na niem wreszcie. Główka jej dotykała wychudłych ramion Heleny. Objąwszy szyję matki rączkami, całując oczy jej i usta, spytała:

— Już teraz, kiedy jesteś zdrowa, nikt mi nie zabroni bawić się przy tobie, prawda?

Powieki Heleny opadły, a następnie otworzyły się szeroko. Doznała wrażenia człowieka, zbudzonego z letargu, w którym słyszał, wiedział, co dokoła niego się działo, a nie miał pamięci i nie miał woli rozbudzenia się, okazania jednym giestem, że żyje.

Teraz już wiedziała, już pojęła wszystko.

Tośka całowała zwiędłą jej szyję i chude, przezroczyste palce, opowiadała przytem tylko coś, czego ona jeszcze dobrze nie mogła pochwycić: słyszała tylko co chwilę wyraz: „mamuniu, mamuniu!", który budził z leniwej drzemki jej umysł.

Podniosła głowę z poduszek, spojrzała w stronę okna, gdzie dawniej stał stół, przy którym Władek i Józik odrabiali lekcye do szkoły.

I ten kąt w tej chwili był pusty. Kilka doniczek kaktusów, długie zwiędłe liście aspilistryi i draceny chwiały się na framudze okna, poruszane wiatrem.

— Gdzie Władek i Józik? — spytała silniejszym już, mniej przyćmionym głosem.

Tośka nie wiedziała dobrze, gdzie oni byli.

— Józik przychodzi późno co wieczór — odpowiedziała — a Władek wyjechał z ciocią Manią, jak tylko mamusia zachorowała.

Słońce coraz szerszą, jaśniejszą smugą prześlizgiwało się po liściach kwiatów w głąb pokoju.

— Wstanę — pomyślała Helena, czerpiąc energię w blaskach i cieple wiosennem.

Usiadłszy na łóżku, zsunęła nogi na ziemię i wstała; zaledwie jednak postąpiła krok naprzód, padła, nie mając siły podniesienia się napowrót.

W tej chwili właśnie przez uchylone drzwi zajrzała pani Marcinowa, która przez cały czas choroby Heleny opiekowała się nią i dziećmi gorliwie.

— Co też pani robi? — wykrzyknęła zaniepokojona, wpadając żywo do pokoju. Jak można zrywać się, kiedy sił jeszcze mało? Do czego to podobne? — gderała, podnosząc chorą.

Helena z jej pomocą doszła napowrót do łóżka. Położywszy się, spojrzała znowu na puste miejsce pod oknem.

— Gdzie Władek? Gdzie Józik? — spytała osłabionym głosem.

Marcinowa, krzątając się około śniadania dla Tośki, nic na razie nie odpowiedziała; zagadnięta jednak powtórnie o to samo, zwróciła ku chorej swą poczciwą twarz rumianą i małe piwne oczy, wyrażające pewne zakłopotanie w tej chwili.

— Niechże pani spokojnie leży — rzekła, poprawiając pościel na łóżku Heleny. Przyjdzie czas na wszystko. Za kilka dni znowu pani będzie komenderowała u siebie, to jej się powie, co i jak, a teraz — lepiej nie myśleć o niczem.

— Chcę wiedzieć, muszę wiedzieć, gdzie oni są? — powtórzyła Helena głośniej, spoglądając na Marcinową błagalnie.

Kiedy tak pani chce koniecznie, to wreszcie powiem: nie o mnie chodzi, jeno o doktora, który nie lubi, żeby tu dużo gadać.

(D. c. n.).

*Cecylia Walewska.*

tom najwięcej było upowszechnione w epoce pomiędzy XII a XVII stuleciem. Przebrzmiewa zupełnie dopiero w wieku XVIII i XIX, chociaż gdzieniegdzie jeszcze przejawia się w teraźniejszości, a z drugiej strony analogiczne z niem położenia znajdujemy już w prawodawstwach starożytnych. Co do obszaru, na jakim występują odnośne fakty, powiedzieć można, że uczestniczą w nim prawa narodów wschodnich i greko-italskich, w szczególności zaś ustawodawstwa germańskie i słowiańskie wraz z pokrewnemi.

Nauka oddawna zajmowała się temi zjawiskami i stosownie do różnicy epoki, w jakiej je badała, w rozmaity sposób usiłowała tłomaczyć. Dopóki chodziło o prawa stosowane do wypadków konkretnych, teorya służyła praktyce i jej potrzeby uwzględniała przedewszystkiem. Później, gdy znikł interes praktyczny, autorowie rozpatrywali je ze stanowiska starożytniczego, oraz jako przyczynki do historyi cywilizacyi i prawa.

Wszystkie atoli pod jeden punkt widzenia podciągnąć i sprzeczne na nie poglądy pogodzić po raz pierwszy stara się uczony Karol Amira, o którego książce, niedawno wydanej, chcemy tu powiedzieć słów kilka *).

Zdaniem Amiry, dotychczasowe badania nie doprowadziły do wyjaśnienia istotnego znaczenia oryginalnych owych kar i sądów z dwu przyczyn, raz dlatego, że przystępowano zazwyczaj do pracy z nader szczupłym zasobem materyału źródłowego i wskazówek literackich, powtóre, że puszczano wodze zachciankom kombinacyjnym bez uprzedniego a wszechstronnego rozbioru faktów porównywanych.

Grupuje on je i charakteryzuje, a czyni to na podstawie takiej obfitości źródeł, iż prawdziwie podziwiać wypada skrupulatność i sumienność autora, który dla napisania jednej, stosunkowo niewielkiej książki przeczytał lub przewertował całe dziesiątki foliałów i akt starodawnych.

Przedewszystkiem kardynalną zaznacza różnicę pomiędzy postępowaniem świeckiem i kościelnem. Świeckie odbywało się tylko względem zwierząt domowych. Pierwiastkowo zresztą gatunek zwierzęcia różnicy nie stanowił. Już w średnich wiekach wszelako pociąganie do odpowiedzialności zwierząt celniejszych ze względów fiskalnych zostało zaniechane, podczas gdy sądzenie mniej kosztownych, domowych trwało i nadal. Prawie wszędzie postępowanie to znajdowało zastosowanie wyłącznie z powodu zabicia lub skaleczenia człowieka, a w czasach dawniejszych *tylko* z powodu zabicia. W niektórych prowincyach włoskich również — a może i częściej — dopuszczalne było z powodu uszkodzenia rzeczy. Zawsze jednak do istoty czynu w takich razach należy, aby zwierzę nie zrządziło szkody, jako narzędzie człowieka. Sporu prawnego, w którymby traktowane było jako strona, nie napotykamy nigdzie, nawet kiedy spór tego rodzaju był czynnością przygotowawczą do wyrzeczenia klątwy (maledykcyi) lub ekskomunikacyi. Oskarżonym, o ile wogóle przychodziło do procesu, bywał zawsze właściciel zwierzęcia. We Francyi i Flandryi oskarżycielem jest przedstawiciel władzy publicznej. W Niemczech, nawet w czasach późniejszych, prawo skargi służy wyłącznie poszkodowanemu. Jeżeli ją wszczyna władza publiczna, posiadacz jej albo przedstawiciel zaraz na początku sprawy ma prawo kazać uwięzić zwierzę. Właścicielowi tego ostatniego zaś niekiedy służy wybór: wydać je natychmiast oskarżycielowi, albo też odpowiedzieć na skargę. W Burgundyi trzy razy go zapytywano, czy chce zwierzę uznać za własne i prowadzić proces. Odmawiając uznania, czyni zwierzę własnością niczyją, a siebie uwalnia od wszelkiej odpowiedzialności. Zdarza się przecież i tak, zwłaszcza we Francyi, że właściciel nietylko takiego wyboru nie ma, lecz nadto zagrożony jest utratą zwierzęcia i zobowiązaniem zapłacenia kary pieniężnej lub odbycia pobożnej pielgrzymki. Formy procesowe, wogóle wydatnie dopiero zarysowane na schyłku wieków średnich, nie różnią się nigdzie od zasadniczych podstaw procedury zwyczajnej. Żeby kiedykolwiek — jak utrzymują niektórzy — miano zwierzęta poddawać sądom bożym lub co więcej torturom, o tem nie wspomina żadne źródło i stanowczo zdaje się nieprawdopodobnem. Gdy zwyciężał oskarżyciel, wyrok zazwyczaj skazywał zwierzę na śmierć. Przytem dokładnie określano — przynajmniej w dziedzinach prawa romańskiego — rodzaj śmierci i sposób jej wykonania. Najwięcej używane było zabicie przez powieszenie lub też uduszenie i następnie powieszenie. W niektórych okolicach wszelako, o ile się zdaje, dawano pierwszeństwo zakopaniu żywcem lub ukamienowaniu, spaleniu lub ścięciu głowy. Od XVII wieku znika z wyroków oznaczanie rodzaju śmierci. Pomiędzy wyrokami starego i nowego stylu stoi orzeczenie sądu gandawskiego z 1578 r., podług którego jakaś krowa miała być sprzedana na zarznięcie, głowa jej zaś wbita na pal pod szubienicą — racyonalistyczne skrócenie dawnego ścięcia. W niektórych wypadkach skazywano zwierzęta na obcięcie uszu, w innych zaś wykonanie kary śmierci poprzedzano okaleczeniem (dla odwetu widocznie), jak np. w Falaise w 1386 roku wieprzowi, który poszarpał twarz i ręce dziecka, przed śmiercią odcięto ryj i jedną nogę.

Nie ma wątpliwości, że wyroki, skazujące zwierzęta na śmierć i określające jej rodzaj, były prawdziwymi wyrokami kryminalnymi, bezpośrednio wymierzanymi przeciwko zwierzętom. Uważano je za przestępców i przypisywano im wolę zbrodniczą. Przeciwko złoczyńcom tego rodzaju sądy francuskie, złożone z uczonych i dyplomowanych prawników, wyrokują „en detestation et horreur dudit cas“ — jak powiedziano w jednym z wyroków z r. 1494, lub „pour la cruauté et férocité commise“— jak brzmią motywy z r. 1567. Treści tak zapadłego wyroku w zupełności odpowiadało wykonanie. Następowało ono publicznie, np. w Abbeville w r. 1323 przy odgłosie dzwonów. Zajmował się niem zawsze sługa władzy publicznej, kat. W razie potrzeby powoływano go w tym celu z odległych miejscowości, a rachunki jego i pokwitowania należą do najważniejszych źródeł w kwestyi kar na zwierzęta. Niby zatwardziałego zbrodniarza odprowadzał on zwierzę na miejsce kaźni, a jeśli wyrok orzekał karę przez powieszenie, spełniano go na drzewie lub szubienicy. Obraz, znajdujący się w kościele św. Trójcy w Falaise, przedstawia nawet zwierzę tracone w sukniach ludzkich.

Co do prawodawstw słowiańskich, Armira, posługując się badaniami Kraussa, nadmienia, iż w Czarnogórzu np. kary na zwierzęta i dziś jeszcze są wielce upowszechnione. Podlegają odpowiedzialności: wół, krowa, koń, wieprz, za zabicie i ciężkie skaleczenie ludzi. Sprawa również nie wytacza się przeciwko zwierzęciu przestępnemu, ale przeciwko jego panu. Ten ostatni wzywany bywa do stawienia się wraz ze sprawcą czynu przed sądem pokoju starszyzny wiejskiej w „krwawem kole“ (krono kolo). Wobec tego sądu krewni zabitego lub okaleczonego domagają się śmierci zwierzęcia lub okupu pieniężnego. Gdy oskarżony odmawia okupu, zrzuca z siebie całą winę i przypisuje ją złym duchom, które opętały mu zwierzę. Wyrok w takich razach skazuje to ostatnie na ukamienowanie, pan rzuca pierwszy, a potem wszyscy obecni. Stos z kamieni nazywa się „prokleta gomila.“ Jeszcze w r. 1864 (ciągle podług Kraussa) w słowackiej wiosce Platernica zgromadzeni włościanie skazali na śmierć świnię za to, że jednoroczniej dziewczynie odgryzła uszy. Mięso rzucono psom na pożarcie, a rodzina, do której zwierzę należało, musiała dać dziecku wyprawę, jako wynagrodzenie szkód. Sprawy przeciwko zwierzętom istniały także u słowian południowych; tylko procedura w nich mniej ściśle była uporządkowana, aniżeli w Europie zachodniej. „W roku wojny i klęsk (1866) — mówi Krauss w dziele o zwyczajach i obyczajach słowian południowych — w dolinie pożegajskiej w Słowenii było dużo szarańczy. Opowiadano wtedy w miasteczku Pożega, że chłopi ze wsi Vidovici pochwycili jedną dużą szarańczę, odbyli sąd nad nią i skazali na śmierć; cała wieś z ową szarańczą miała zejść do rzeki Orljawa i z przekleństwami najokropniejszemi rzucić ją w wodę.“

Nie wiadomo, czy publiczne kary na zwierzęta istniały u innych ludów słowiańskich.

Przechodząc do postępowania karnego, jakie przeciwko zwierzętom rozwinęło się na gruncie kościelnym — Armira zwraca uwagę, że postępowanie to nigdy miejsca nie miało przeciwko zwierzętom domowym oraz nigdy przeciwko pojedynczym. Skierowywano je zazwyczaj przeciwko całym gatunkom zwierząt, które w życiu potocznem uważają się za gady, jak przeciwko myszom, szczurom, kretom, liszkom, owadom, żółwiom, pijawkom, wężom i t. p. W Kanadzie występowano w ten sposób przeciwko dzikim gołębiom, w południowej Francyi o wiele dawniej jeszcze przeciwko bocianom, w Niemczech przeciwko jaskółkom, nad jeziorem Genewskiem — przeciwko węgorzom. Szczególną właściwością tego postępowania było, że traktowano w niem zwierzę jako stronę oskarżoną. Oskarżycielami bywali zazwyczaj właściciele posiadłości zagrożonych, najczęściej zaś gmina cała. Proces cały dzielił się na dwie części. Pierwszą stanowił spór co do dopuszczalności wygnania strony oskarżonej. O ile rozstrzygnięty został na korzyść oskarżyciela, razem z wygnaniem zwierzęcia następowało zagrożenie mu klątwą lub ekskomunikacyą. Część druga jest sporem co do dopuszczalności klątwy lub ekskomunikacyi z powodu nieposłuszeństwa względem wyroku, nakazującego wygnanie. Rozstrzygał w jednym i drugim razie sąd duchowny, stolica biskupia, w której jurysdykcyi znajdowały się grunty oskarżyciela. W razie skazania zwierząt na wygnanie, oznaczano im termin, w ciągu którego powinny były wydalić się; do tego czasu wydawano im listy żelazne. Najdawniejsze klątwy lub tak zwane ekskomunikacye należą do dziedziny podań. Wspominają o nich naprzód opisy żywotów świętych. Dowiadujemy się z nich tyle tylko, iż do r. 1200 od klątew spodziewano się skutku pożądanego jedynie w drodze cudu. Pierwszy szczegółowo opisany wypadek takiego procesu należy do r. 1338. W wieku XV praktyki prawne w tym kierunku dochodzą do rozkwitu. Z nastaniem wieku XVI zaczyna się ruch wsteczny pod tym względem. W r. 1534 generalny wikaryusz Walencyi z porady prawników i teologów porzuca dawniejszą praktykę ekskomunikacyi zwierząt i pozwala jeszcze tylko na zaklęcia (adjuracye) i pokrapianie wodą święconą. W r. 1690 uczynił to samo wikaryusz z Clermont, 1710 — z Autun, w 1717 sam papież w oddzielnem breve, w r. 1750 zaś, zdaje się, że ekskomunikacya zwierząt wygasła całkowicie, choć w Danii znajdujemy jeszcze jej ślady w 1805 i 1806 roku.

*Ad. J. Cohn.*

*) *Thierstrafen und Thierprocesse.* Innsbruk.

## JĘZYKOZNAWSTWO.

*Uchwały Akademii z dnia 31 października 1891 r. w sprawie pisowni polskiej.* Wydanie II. Kraków, 1892.

Lubo Akademia uznała wnioski referatu, przesłanego jej z Warszawy (1885 r.) za najzupełniej naukowo uzasadnione, przeciw którym nic nie ma do nadmienienia, jednakże poczytując się za instytucyę więcej badawczą, niż decydującą, usunęła się od ostatecznego w sprawie pisowni wyroku; zwłaszcza że reforma, chociaż wielce przez wielu pożądana, przeprowadzoną być jeno może w społeczeństwach pozbawionych wszelkiej tradycyi piśmienniczej, czego właśnie o nas powiedzieć nie można. Odwieczna grafika i pisownia, mająca za sobą powagę Rejów. Kochanowskich, Górnickich, Orzechowskich, Biblii Radziwiłłowskiej itp. wsiąkła już w krew i kości ogółu, dlatego wyplenić się łacno nie da. Z tej przeto zasady, Akademia zgodziła się na pewne prawidła, które od r. 1872, tj. od założenia tej instytucyi w wydawnictwach swoich stosowała, uznawszy je wyłącznie dla siebie, a nie dla ogółu za obowiązujące. Na zapytanie Rady szkolnej krajowej, Akademia pisownię swoją nazwała tymczasową i niedość uzasadnioną. Wtedy Rada szkolna zwołała osobną komisyę, która opracowała „Projekt ortografii polskiej w podręcznikach szkolnych“ i przedstawiła Akademii, prosząc o zbadanie referatu, tudzież o pewne w nim zmiany i uzupełnienia. Ustanowiona w tym celu komisya składała się jeno w połowie ze specyalistów gdy reszta obejmowała przedstawicieli innych nauk. Powołaniem niespecyalistów, zamierzano uwzględnić najbardziej popularny sposób pisania. Wskutek narad komisyi, Akademia przyjęła projekt Rady szkolnej z pewnemi zmianami, odrzuciwszy jeno rzeczy nienależące do ortografii (moję czy moją, Francyę czy Francyą etc.). Zasady deputacyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk są podstawą uchwały z d. 31 października 1891 r. Zgodnie z „Projektem“ pisze się wszędzie *e* otwarte zam. ścieśnionego (mleko, ser, sierota, siekiera itp.). Między innemi jest tam jedna nowostka, która radzi pisać ojcostwo, Józefostwo zamiast ojcowstwo, Józefowstwo itd. gdy w innych zachowuje się *w*, dlatego, że ono jest w tematcie wyraźne; np. szewstwo (szew*c*), prawodawstwo (prawodawca) itp. Nieulega wątpliwości, że w pierwszym wypadku sufiks *stwo* dodaje się do tematu ojców, Józefów, a nie ojca, Józefa, tak jak panieństwo = panienstwo; w drugim zaś, dla istniejącego *w* w temacie, tworzenie od szewców, szewcowo — jest zbytecznem, tak, jak zbytecznem wiedeński od *wiedniew* lub *wiedniów*. Lepiejby pozostawić ojcowski ojcowstwo, bo dla zgody należałoby pisać ojcoski, Józefoski, a na co się Akademia nie zgodzi. Zresztą nic tu nowego nie przybyło. Uważamy wszakże za powinność, zwrócić uwagę, że wyrażenia autora broszurki, jakoby z pisowni módz zam. móc „przed niedawnemi czasy nikt nie zdawał sobie sprawy,“ dziwnie nie licuje z erudycyą należącą do samego przedmiotu. Czyżby nikogo nie było w Akademii, ktoby nie wiedział, że w r. 1830, Wojciech Szwejkowski, opierając się na narzeczach słowiańskich, gorąco przemawiał za wisownią mó*c*, strze*c*, zam. mó*dz*, srze*dz*. Rzecz to osobliwa i tem więcej godna uwagi, że Akademia wnioski swoje opiera na zasadach deputacyi, ogłoszonych w dziele p. t. Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej (Warszawa 1830), gdzie na str. 287 podniesiona jest ta kwestya.

*Justyn Feliks Gajsler.*

## LITERATURA I SZTUKA.

### DÜHRING WSKRZESZONY.

Osobistość Dühringa i odkrycie go przez „młodych.“ — „Filozofia rzeczywistości“ i charakter publicystyczny prac Dühringa. — Świeża książka o wielkościach literatury nowoczesnej.— „Charakter narodowy“ germański, zżydowienie go i nowoczesne wyzwalanie stanowią niby treść rozwoju dziejowego myśli średniowiecznej. — Wartość prac Dühringa.

Jakkolwiek piorunowanoby przeciwko wpływowi, wywieranemu przez to lub owo nazwisko, rzeczywistość życiowa nie zmieni swego postępowania. Są książki, które, gdyby wyszły z ręki pisarza nieznanego, utonęłyby bez zwrócenia na siebie uwagi. Do takich dzieł należy właśnie praca Dühringa, poświęcona wielkościom literatury nowoczesnej, której część pierwsza tylko co ukazała się na wystawach księgarskich. Imię to posiada w Niemczech sławę szczególną, niewykraczającą zresztą po za granice tego kraju. Dühring dał się poznać mniej więcej przed laty 30 rozprawką o czasie, przestrzeni i przyczynowości. Był to pierwszy krok na drodze zamierzonej — sprawienia przewrotu w całej nauce dotychczasowej. Prace ekonomiczne, od monografii nad Careyem do kursu systematycznego tej gałęzi wiedzy i skreślenia jej dziejów; filozoficzne, przedstawiające historyę systemów myśli, zasady logiki itd.; wreszcie próby zwrócenia fizyki, chemii, mechaniki i analizy matematycznej na nowe tory—oto owoce tych trzydziestoletnich usiłowań. Ta różnobarwna działalność świadczy o rzutkości umysłu i ciągłej pracy. Obok chęci zreformowania całej wiedzy i oparcia na niej zmiany stosunków życia ludzkiego, charakter Dühringa posiada rysy szczególne, które na pierwszy rzut oka rodziły podejrzenie, że poglądami jego, sądami i paradoksami kieruje nie istotna jakaś samodzielność, lecz prosta chęć przeczenia i przekorność. Niebawem reformator pokłócił się z całym światem. Jako docent, rzucił wyzwanie mandarynizmowi profesorskiemu; plwanie na Lassalla i Marksa odstrychnęło odeń tych, których poprzedniem zachowaniem się pociągał. Przejścia te wywołały z jego strony namiętną odpowiedź i zwolna doprowadziły go do podniesienia walki przeciwko „zżydowieniu“ ducha niemieckiego. Wyrzucony z katedry i szczuty przez obrażonych mandarynów, wyklęty przez liberalizm, lekceważony przez ukazującą się demokracyę społeczną, zniknął z powierzchni. Nawet kilka razy pisano o nim jako o zmarłym. Jedynie praca jakaś, prawdopodobnie mało kupowana, wydobywała na jaw imię jego z zapomnienia. Dopiero dzisiaj zaczyna brzmieć ono głośniej. „Młodzi,“ będący dotychczas błąkającą się gromadką, w której każdy uczestnik śpiewa inną piosenkę, w poszukiwaniu pasterza duchowego odkryli Dühringa i jego teorye społeczne, odrzucające walkę klasową i w „Rozumie“ widzące źródło ewolucyi społecznej, przeciwstawili logice poglądów społeczno-demokratycznych. Dr. Friedländer stanął na czele tego odkrycia i wyszukuje pątników, których prowadzi do pustelni filozofa dla złożenia mu hołdów i zaprotestowania przeciwko wrogom...

Z ciekawością zatem wzięliśmy świeżą książkę Dühringa do ręki *), lubo z góry poniekąd wiedzieliśmy, co w niej znajdziemy. Ale naprzód wypada nam zaznajomić czytelników z jej autorem. Dühring z dumą powtarza, że jest szermierzem nowej filozofii — „filozofii rzeczywistości.“ Ów cały przewrót, jaki sprawić zamierzał, polega właśnie na tem, ażeby z nauk przyrodniczych wydobyć podstawy dla utworzenia odpowiedniego poglądu na świat, drgającego „rzeczywistością,“ a następnie dać stosowne modły postępowania w życiu codziennem. Filozof ten jest nawskróś rzecznikiem potrzeb realnych, publicystą w szacie myśliciela oderwanego, a wszelkie jego wysiłki filozoficzne są jedynie ostrzeniem broni do walki o potrzeby praktyczne. Używać w całej pełni wszelkich darów przyrody i ćwiczyć wszystkie uzdolnienia organizmu, nie znając wędzideł społecznych i metafizycznych oprócz hamulca instynktu; żyć całem życiem indywidualnem i społecznem, ale zgodnie ze wskazówkami nauki, tak, iżby nie popełnić nadużyć i tem samem nie zmniejszyć zasobu energii życiowej; słowem, śmiać się i płakać, kiedy się chce, nie ukrywać swoich namiętności, nie zapuszczać odłogiem ani jednej potrzeby, współczuć z współobywatelami, zamieniwszy przepisy etyczne i wskazówki nauki na instynkty swego organizmu — oto ideał „życia rzeczywistego“ według Dühringa. Jest to poniekąd epikureizm, atoli uszlachetniony silnem napięciem czynnych instynktów natury społecznej, epikurejczyk bowiem dążył do cnotliwości w ciasnem kółku przyjaciół i uciekał od zgiełku społecznego, Dühring zaś marzy o oparciu całego życia gromadzkiego na podstawach rzeczywistości i dziś zaprasza do walki o to jutro. Wszystko, co tylko wyszło z pod jego pióra, oddycha tą namiętnością walki. Historya filozofii, ekonomii, literatury w ręku Dühringa przekształcają się na prace publicystyczne. Filozofia winna uzdolnić człowieka do wcielania w życie ideałów rzeczywistości, a filozof, postępujący inaczej, znajduje w nim nieprzejednanego wroga. Dühring ściera się z tego powodu z Kantem, ponieważ w jego kategoryi rzeczy samych w sobie widzi furtkę do wprowadzenia istności metafizycznych, które winny ujarzmić człowieka i oderwać uwagę jego od życia; ciska gromy na wszystkich prawodawców etycznych, gdyż ci usiłują oprzeć dobre postępowanie człowieka nie na wolnej grze uszlachetnionych popędów, ale na jakiejś oderwanej zapowiedzi. Wobec tej żyłki publicystycznej prace jego nie są przedstawieniem historycznem rozwoju ekonomii lub filozofii, lecz każda staje się olbrzymim wyrokiem. Tego wynosi on pod niebiosa, tamtego strąca z piedestału wielkości w nicość, w miarę ich zgody lub niezgody z filozofią rzeczywistości, nie przebierając w wyrażeniach gniewu lub zachwytu. Temperament to w najwyższym stopniu podejrzliwy, drażliwy, a przytem aż nadto „rzeczywisty,“ tj. zbyt dowierzający „zdrowemu rozsądkowi,“ który, jak wiadomo, niekiedy nie widzi dalej swego nosa i gotów dać się ukamienować, że nie ziemia obraca się dokoła słońca, lecz słońce około ziemi. Ów zdrowy rozsądek doprowadził Dühringa do twierdzenia, że nie w stosunkach ekonomicznych, ale w prawno-politycznych, które są jedynie wyrażeniem i zorganizowaniem podkładu ekonomicznego, tkwi jedyne źródło wyzysków dziejowych; on też sprawił, że filozof rzeczywistości stał się filozofem szczucia rasowego.

Takim jest człowiek, o którego pracy mówić zamierzamy. Wziął się on do zadania względnie niewdzięcznego. Dzieje piśmiennictwa przedstawiają grunt ciągły. Naturalnie mam tu na myśli nie ciągłość chronologiczną, która zresztą zwykle obchodzi dotychczasowych historyków literatury, stawiających z tego powodu Shakespeare'a np. i Miltona na czele epoki dziejowej. Przeciwnie, idzie mi o związek piśmiennictwa z życiem. Z tego punktu widzenia Shakespeare jest najbujniejszym kwiatem owej „starej swawolnicy,“ Anglii chłopsko-rzemieślniczej, której ostateczny cios zadała Elżbieta, Milton — wyrazem jej usiłowań wyrwania się z objęć kapita-

*) *Die Grössen der modernen Literatur, popular und kritisch nach neuen Gesichtspunkten dargestellt.* Lipsk.

lizmu, kiedy ginące chłopstwo szukało broni ideologicznej w Biblii, a poeta w utraconym raju wcielił polityczne zapasy ziemskie; wreszcie Carlyle — ostatnim, jak ktoś nazwał, mastadontem ubiegłej epoki, błąkającym się wśród jestestw innej formacyi społecznej. Atoli Dühring ma na oku nie rozwój całego piśmiennictwa, lecz tylko jego dostojników. Są oni wprawdzie również związani z gruntem, z którego wyrośli. Powiedziano, że, aby zrozumieć poetę, należy z nim udać się do jego kraju. Krajem owym nie są ani kołyszące się od wiatru gałązki, ani ten lub inny odcień nieba, ani wreszcie świergoczące makolągwy i wzdychające do Adamów białogłowy, ale ogół ludzi, który porusza się i żyje w określonych stosunkach gromadzkich i w pewien sposób ujarzmił pewien zakątek globu ziemskiego. Dostojnicy literatury są dziećmi tej całości, takiego kraju. Natomiast pomiędzy nimi samymi niema żadnej spójni, skoro usuniemy głowy maluczkie, zapełniające przestrzeń. A zatem, zdawałoby się, każda praca, poświęcona jedynie wielkościom literatury, musi być zbiorem niezwiązanych z sobą monografij, z których jedna idzie do sasa, druga do lasa. Atoli Dühring znalazł spójnię taką w swojej teoryi charakterów narodowych, która na równi z filozofią rzeczywistości plącze się we wszystkich jego pracach. Każdy naród, zdaniem jego, posiada właściwe sobie znamiona duchowe, uwydatniające się w sztuce i poezyi, w sposobie rozwiązywania zagadnień filozoficznych. Między innemi, plemię germańskie posiada charakter narodowy, którego dążności najlepiej wypowiada niby filozofia rzeczywistości, a który wystąpił już w pieśni Nibelungów. Ludzie w tym utworze ścierają się z sobą, używając życia bez myśli o jakichś kategoryach metafizycznych, które powściągnęłyby grę swobodną uczuć i namiętności. Plemię to, będące wcieleniem popędów rzeczywistości, dało początek całej Europie średniowiecznej i w miarę poznawania tajemnic przyrody coraz bardziej doskonaliłoby swoją barbarzyńską, ale zdrową filozofię. Dzieje jednak potoczyły się innem korytem. Istnieje gdzieś rasa wyklęta, bez równowagi duchowej, tonąca już w nadmiarze żądz cielesnych, to znowu w widziadłach fantazyi bezcielesnej, która wyłoniła dualistyczne pojmowanie przyrody. Są to żydzi. Zrodzone na tym gruncie filozofie dualistyczne wtargnęły do upadającego Rzymu, a później zaraziły tchnieniem swojem rzeczywistość germańską. Otóż całe dzieje dotychczasowej duchowości germańskiej — to walka jej przeciwko zżydowieniu. Dante przedstawia widok takiego poddania się tej zarazie, i dopiero klasycyzm dostarcza pierwszej broni do wytępienia jadu. Giordano Bruno w filozofii, Cervantes i Shakespeare w literaturze są wyrazicielami tej filozofii rzeczywistości. Niedługo to jednak trwa. Reakcya znowu rozwielmożnia się, a Milton przedstawia najkrańcowszy wyraz zżydowienia literatury tego okresu; z drugiej strony klasycyzm ze sprzymierzeńca staje się wrogiem i usiłuje zadusić świeże prądy. Wreszcie na przełomie zjawia się Voltaire... Takim to cementem Dühring wiąże rozpierzchłe postacie. „Charakter narodowy“ wyprawia tutaj wszelkie możliwe łamańce, jakie mu nakaże jego ojciec duchowy. Trzeba coś wytłomaczyć, ocenić, załatwia się to natychmiast przy pomocy tego pajaca i bez dalszych poszukiwań, a środek ten gorąco polecamy każdemu, kto z góry chce mieć na wszystko wyjaśnienie bez mozolnej pracy... Rozumie się, wszystkie cnoty i zalety świeczników literatury są zapisane na karb ducha germańskiego, wady — żydowskiego. Jest to tło ogólne, na którem autor odbywa swoje sądy nad pojedynczemi osobistościami. Każdy potężny talent jest żywiołową siłą, a zadanie krytyka polega na wykazaniu, jak siła ta się ukształtowała i dlaczego tak, a nie inaczej działa itd,, a czy była ona szkodliwą lub pożyteczną, zdrową lub wykoszlawioną, to nie powinno prowadzić nas na manowce przy ocenianiu jej stopnia. Dühring postępuje inaczej. Dla niego historya literatury nie jest poznawaniem dziejów twórczości, ale sposobnością do podawania różnych recept, przedewszystkiem zaś do wyklinania i błogosławienia. Już przedmowa zapowiada nam pracę nawskroś publicystyczną, gdzie obrazy przeszłości mają posłużyć dla celów teraźniejszości. To też z „wrogami“ Dühring obchodzi się bez miłosierdzia. Lessing za swojego *Natana mędrca* zostaje wykreślony z literatury, a życie jego przyrównane do „psiego aportowania“ wobec żydów, natomiast za swoje poglądy antysemickie Voltaire uznany za najpierwszą gwiazdę! Że przywykłemu do etykiety salonowej, ubocznych miłostek i wreszcie do sobkostwa Goethemu Dühring nie dowierza, jest to rzeczą zrozumiałą. Ale trudno odpowiedzieć, z jakich przyczyn odmawia mu wszelkiego talentu i uzdolnień umysłowych. Natomiast Burger zostaje obwieszczony za największego świecznika wieku ubiegłego. Ta próbka sądów Dühringowskich wystarczy. Co nie pasuje do kramiku „filozofii rzeczywistości,“ gdziekolwiek poeta wprowadza twory nieziemskie, oświadcza się za tolerancyą, a w życiu występuje związany przesądami towarzyskiemi, każdy z takich winowajców, nawet posiadając, jak Dante lub Goethe, olbrzymi talent, zostanie wrzucony w błoto. Słowem, Dühring i w nowej pracy nie przeniewierzył się sobie. Gdzie należy badać, daje recepty; gdzie lepiej byłoby znaleźć klucz do zrozumienia człowieka, wymyśla. Tę i ową stronicę czytamy z zajęciem, ale z takiem, z jakiem przeglądamy pamflet, o którym z góry wiemy, że jest tylko wykrzywieniem prawdy. Zresztą nie żądajmy od Dühringa więcej. Zasadnicze jądro jego poglądów, mianowicie owa chęć oparcia życia na rzeczywistości, jest rysem wysoce sympatycznym, który jednak nie wyklucza tego, ażeby prace jego historyczne w zakresie filozofii, mechaniki, ekonomii, literatury nie przedstawiały nader małej wartości. Szerokie wykształcenie ogólne jest niezbędnym warunkiem dla każdego myślącego człowieka, tembardziej dla publicysty i ekonomisty. Atoli w naszym wieku, kiedy naukę porusza naprzód działalność jednostek, kiedy zrzeszenie pracy naukowej unosi się przed nami dopiero jako ideał, na tym ogólnym podkładzie każdy winien wydzielić sobie jakiś obszar węższy, jeżeli nie chce pozostać dyletantem. Tymczasem Dühring jak z rękawa wytrząsa prace najrozmaitsze: z mechaniki, analizy matematycznej, chemii, fizyki, logiki, ekonomiki i daje już z kolei czwartą historyę — dzieje literatury. Nie dziw też, że treść bywa niekiedy zbyt jałowa, a zamiast analizy głębszej znajdujemy ogólniki lub maryonetki do wszystkiego służące, w rodzaju „charakterów narodowych.“ Dodajmy do tego wywieranie zemsty na przeszłości za niepowodzenia osobiste i sporą dozę wygórowanej ambicyi, polegającej nie tyle na szukaniu prawdy, ile na systematycznem mówieniu inaczej, niż inni mówią, a będziemy mieli wyobrażenie o tym pamflecie. Takie są zresztą wszystkie „historye“ Dühringa. O wartości prac fizycznych, chemicznych i t. d. nie mówimy, bo ich nie znamy.

*K. R. Ż.*

---

# ŻYCIE SPOŁECZNE.

## WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Muzeum. — Konkursy. — Posłowie-włościanie. — Wystawa.

Grono nauczycieli przy wyższych kursach dla kobiet w Muzeum techniczno-przemysłowem, układając program przekształcenia tych wykładów, znacznie rozszerzyło plan nauk przyrodniczych i historycznych. Ponieważ zażądało zarazem stałej zapomogi 2500 złr. i przyjęcia kursów na etat miejski, przeto wniosek ten, zatwierdzony przez sekcyę szkolną, stał się teraz przedmiotem obrad na posiedzeniu Rady miejskiej. Przeciw niemu wystąpił prof. Jordan. Podnosząc wadliwość projektowanej organizacyi, zaznaczył, że 1) zbyt wysokie wykształcenie dla kobiet jest szkodliwe, że należy je raczej ćwiczyć w zawodach praktycznych; 2) skoro każda uczenica zwyczajna zapisać się ma na wszystkie przedmioty jednego wydziału, to liczba wykładów, objęta np. przez wydział przyrodniczy, jest tak wielka, że wprost uniemożliwia osiągnięcie jakichkolwiek pozytywnych rezultatów. Uczyć tam bowiem mają botaniki, zoologii, mineralogii, antropologii, biologii, fizyologii, psychologii itd., cały zaś kurs każdego przedmiotu ma być zamknięty w 22 lub 33 godzinach; 3) nauka ta wytworzyć musi niedouków i to niedouków jednostronnych, ponieważ dając np. wiadomości przyrodnicze, nie udziela ani historycznych, ani literackich i naodwrót; wobec zaś wielkiej sumy przedmiotów wykładowych jednego wydziału, niepodobna wymagać od uczenic, aby i z pozostałych wydziałów korzystały; 4) statuty kursów nie żądają ani świadectw z ukończenia pewnych szkół, ani składania egzaminów wstępnych i końcowych. Wobec tego wykłady, dla słuchaczek mniej i więcej umiejących, jednakich — tym lub tamtym korzyści nie przyniosą; nadto, brak egzaminów odbiera kontrolę nad postępem słuchaczek. P. Jordan proponuje więc zmianę planu nauki, stosownie do wykazanych przez niego usterek.

Wszystkie zarzuty, czynione błędnej organizacyi kursów muzealnych, są bezwarunkowo słuszne i dziwić się doprawdy należy, iż tak potworny plan zrodził się w głowach doświadczonych pedagogów. Przypuścić więc trzeba, że im szło nie tyle o korzyść uczenic, ile o własną, jakąby dzięki próżności rodziców i córek „edukowanych,“ przez liczny ich napływ, osiągnęli. Niepojętym jednak dla nas jest pierwszy punkt przemowy p. Jordana. Zarzuca kobietom brak równowagi umysłowej, potęgującej się jeszcze wskutek niedouctwa, a jednocześnie utrzymuje, że „zbyt wysokie wykształcenie dla kobiet jest szkodliwe, że odciąga od zajęć gospodarskich i pracy praktycznej, jedynie dla nich właściwej. Przedewszystkiem pochwyćmy sprzeczność: Niedouctwo potęguje brak równowagi umysłowej, od nauki należałoby się zatem spodziewać zrównoważenia umysłów chwiejnych. Jeżeli nauka jest dobrem, a jest niem przecież niewątpliwie, to czemuż sokami jej karmić się ma jedna tylko kasta społeczna? Czemu dla jednych osobników pożyteczne dla innych tegoż gatunku mają być szkodliwe? Rozmarzenie, jakiem romantyzm upoił był umysły męzkie, ustąpiło pod świeżem, trzeźwem tchnieniem nauk przyrodniczych; takiego samego ich wpływu spodziewać się należy na rozmarzone, rozromantyzowane główki kobiece. Wpływ ten staje się już i teraz bardzo widocznym. Dowodem — literatura i społeczna, ekonomiczna działalność kobiet. Cóż zresztą znaczy „zbyt wysokie wykształcenie“? Kto daje nam prawo oznaczenia wysokości, do jakiej drugiemu umysłowi ludzkiemu wznieść się wolno lub nie? Dziwna, zaprawdę, iż p. Jordan nie wie lub zapomina o przyczynach, które każą kobiecie szukać ocalenia tam, gdzie jedynie znaleźć je może. O konieczność ekonomiczną rozbija się każde, bodaj najpoważniejsze — „nie pozwalam.“ Może w Radzie miejskiej Krakowa znajdzie się ktoś, kto na okoliczność tę zwróci uwagę ojców miasta.

Na morzu konkursów galicyjskich wy-

płynęła znowu łódź świeża, a świetna podobno. Panna Helena Ceysinger, rodem z Lubelskiego otrzymała na konkursie imienia Wołodkowicza pierwszą nagrodę. Dramatem jej, osnutym na tle walk Słowian południowych (Dalmacyi) p. t. „Zwalczeni“ rozpocznie się w przyszłym roku szereg przedstawień w nowym teatrze. Życzymy i autorce i teatrowi, aby orzeczenie sędziów konkursowych miało więcej podstaw, aniżeli wyrok wydany przez znawców o dramacie Bełcikowskiego, uwieńczonym drugą nagrodą na konkursie wydziału galicyjskiego.

W zeszłym miesiącu dwaj włościanie zdawali sprawę ze swych czynności poselskich: poseł do sejmu, Stanisław Potoczek i brat jego, poseł do Rady państwa, Jan Potoczek. Podczas walk wyborczych niejednokrotnie odzywały się głosy, twierdzące, iż wybór chłopów do ciał reprezentacyjnych jest przedwczesny i szkodliwy; dokonane zaś wybory uważano za objaw rozstroju społecznego i skutek podburzeń partyi postępowej. Tymczasem oceniając dzisiaj działalność tych ludzi, z radością zaznaczamy, że obecność ich w sejmie i Radzie państwa przyczyniła się w wielkim stopniu do spotęgowania korzyści włościan. Ci ostatni dobrze czynią, powierzając swoje sprawy wybrańcom ze swego stanu, którzy na straży interesów włościańskich stać umieją, a nie mając jeszcze spaczonej dążnością do synekur ambicyi, zdobywają się nieraz na odwagę cywilną, której w kole panów szukaćby napróżno. Jak np. Jan Potoczek, widząc w Kole lekceważenie żądań włościańskich gwoli interesom „wyższym,“ chciał nawet z niego wystąpić. Naturalnie, że postarano się o zażegnanie „skandalu.“

Cesarz przyjął protektorat nad wystawą lwowską, odbyć się mającą w r. 1894. Przyrzekł też, iż zwiedzi ją osobiście. Zdaje się tedy, że powodzenie wystawy jest zapewnione, tembardziej, iż ku uświetnieniu jej czynią wszędzie wielkie starania.

*Ferropar.*

## LIBERUM VETO.

Doświadczenie Pettenkofera z bakteryami cholerycznemi. — Z deszczu pod rynnę. — Udział ogółu w sporze naukowym. — Prawda w tajemnicy i mądrość sklepikowa. — Gorszące widowisko. — Podrywanie wiary w naukę i lekceważenie jej pracowników. — Co robić wobec niewiadomości. — Dwudziestopięciolecie pracy P. Chmielowskiego. — Znamienne rysy jego umysłu.

Słynny hygienista niemiecki, Pettenkofer, oświadcza, że zjadł obfitą porcyę laseczników przecinkowych i nie dostał cholery, a nawet nie miał żadnego silniejszego zaburzenia. Uczynił to 74-letni badacz dla tego, ażeby wykazać, że teorya Kocha co do zaraźliwości zapomocą owych bakteryj jest błędna, jego zaś, uznająca czasowe i miejscowe usposobienie do przyjęcia zarazy — słuszna. Gdybyśmy tę sprawę rozważali jedynie ze stanowiska kłopotu, należałoby powiedzieć, że Pettenkofer chce nas przeprowadzić z deszczu pod rynnę. Chociaż bowiem przecinki Kocha nie wyjaśniają nam istoty i zaraźliwości cholery we wszystkich jej zagadkach, dają przynajmniej jakąś broń do walki z nią i jakąś nadzieję zwycięztwa. Wywiedziono bowiem z nich wnioski hygieniczne mówią: ponieważ zarazki choleryczne mnożą się głównie w wodzie, więc trzeba unikać picia nieprzegotowanej wody; ponieważ rozwijają się na gruncie zaburzeń w organach trawienia, więc należy spożywać pokarmy zdrowe; ponieważ rozszerzają się za pomocą zetknięć z chorymi i ich odzieżą, więc trzeba urządzić dezinfekcye — itd. Tymczasem Pettenkofer ze swoją teoryą „miejscowo-czasowego usposobienia“ nietylko wywraca całe to rusztowanie środków zapobiegawczych, ale zawiesza nad ludzkością niezłomny fatalizm. Bo z bakteryami można sobie jakoś radzić, ale co poradzić z „usposobieniem“? Poprawiać naturę gruntu, który jest dla nich przyjaznem podłożem? Ależ tego nikt nie dokona z dnia na dzień, a nawet z roku na rok. Cóż więc pozostaje? Stawać do popisu przed cholerą, kłaść rękę w urnę i wyciągać z niej losy, będące biletami życia lub śmierci. Niewesoła gra w szczęście!

Ale, niestety, zadowolenie ludzkie nie jest żadnym argumentem na szalach nauki. Siły, które wywiodły człowieka na świat, nie poręczyły mu bynajmniej szczęścia, lecz możliwość gry i mniej lub więcej ryzykownych stawek na kaprysy Fortuny. To więc, że bardziej nam dogadza teorya Kocha, niż Pettenkofera, nie wywyższa ani o włos jednej i nie zniża drugiej. Prawda jest tą wyjątkową niewiastą, która do nikogo się nie wdzięczy i nikomu nie chce się podobać. Po której zaś ona stronie stoi w tym wypadku?

Pytanie to, dość obojętne dla ogółu w innym czasie, w obecnym niepokoi go i wymaga odpowiedzi, którą też ci i owi sobie dają. A im kto głupszy, tem niecierpliwszy i bardziej stanowczy. Pomimo że najpoważniejsi badacze nie umieją wyjaśnić istoty cholery, jednakże od tylu wieków daremnie poszukiwane słowo zagadki znaleźć możesz w najmizerniejszym sklepiku mądrości. Są ludzie tak w rozum bogaci, że zajmując się filozofią, wyrabianiem mydła lub wreszcie niczem, mogą w ostatniej instancyi rozstrzygnąć spór między Kochem a Pettenkoferem. Otóż od tej zabawki pragnąłbym was odciągnąć, moi czytelnicy. Jest to objawem najzupełniej usprawiedliwionym psychologicznie, że każdy stara się mieć pewne zdanie o przedmiocie, który go silnie obchodzi. Nie bacząc wcale na to, że nie posiadamy odpowiedniej wiedzy, będziemy rozprawiali o stosunku kapitału do pracy, taryfach celnych, młynach wodnych lub cholerze, ile razy którakolwiek z tych spraw zetknie się z naszym interesem. Więc jest to również bardzo naturalnem, że podczas epidemii wszyscy mówią o epidemii. Ale jeżeli przytem sądzimy, że wyrzucamy z ust więcej, niż najzwyczajniejsze frazesy, z których ukryta w osłonach tajemnicy i nieznana prawda szyderczo się śmieje, to tkwimy w grubym błędzie. Ta prawda nie ukaże się pomimo najuroczystszych zaklęć pana radcy lub pani naczelnikowej, a gdy wyjdzie na jaw kiedyś, to tylko wyprowadzona przez badaczów.

Pamiętać o tem winniśmy zarówno ze względów moralno-teoretycznych, jak praktycznych. Skwapliwe głosowanie ogółu w kwestyach naukowych i bardzo trudnych ostatecznie wyjaławia społeczeństwo z rozumu. Nie chodzi tu bynajmniej o żadne monopole wiedzy i jej kapłaństwa. Prawnik, asesor sądowy, Peschel był lepszym geografem i etnologiem, niż tysiące innych, którzy od początku uprawiali tę niwę. Jeżeli lekarz, przyrodnik lub lingwista uważają swoje pole za wydzierżawione posiadaczom odpowiednich dyplomów uniwersyteckich, to są wprost naiwni. Ale niech ten, kto rozwiązuje jakąkolwiek zagadkę poznania, poświęci jej rzeczywiście pracę swej myśli. Alfons Karr, poeta, hodujący kwiaty, mógł być powagą w ogrodownictwie, ale kupiec, który podczas podróży zagranicznych pogapił się w kilku galeryach, nie jest znawcą malarstwa. A ludziom często zdaje się, że dość — jak powiedział Szczedryn — raz widzieć nagą kobietę, ażeby być akuszerem. Przed kilku miesiącami zarozumiała głupota wyprawiła nam i wyprawia dotąd jedno z najwstrętniejszych widowisk. Mówię o żakowskich drwinach z Kocha. Że on przecenił leczniczą wartość swej tuberkuliny, dziś nie ulega wątpliwości. Ażeby jednak za to byle półgłówek miał prawo kłaść go na swem kolanie i otrzepywać, chyba się nie zgodzimy. Tymczasem zarówno w pismach humorystycznych, jak „poważnych,“ widzimy ciągle te gorszące sceny, a niedawno jeden z dzienników nazwał tego zasłużonego i znakomitego badacza „szwindlarzem.“ Przez takież same rózgi przepuszczamy swoich. Gadacze, mistrze uliczni, rynkowi, knajpowi i restauracyjni — to mężowie wysokiego kalibru i wagi; ale sumienni i wytrwali pracownicy nie są nawet o tyle zabezpieczeni, ażeby ktoś w tramwaju, rozmawiając z nieznajomym sąsiadem, nie nazwał ich blagierami. Ani wielka mądrość, ani wielka cnota nie wyrastają na byle mózgu i byle charakterze. To pewna. Jednakże nawet uwzględniając ich rzadkość, trzeba się zdumiewać, do jakiego stopnia jest u nas osłabiona wiara w czyjąś naukę lub uczciwość. Najbezmyślniejsza kpina lub plotka podrywa ją natychmiast, poniewieramy ludźmi, którymi szczycić się powinniśmy, odmawiamy uznania tym, którzy za swą rzetelną i płodną pracę niczego więcej od nas nie wymagają. Gdzie w tej krzywdzie i niesprawiedliwości znaleźć się może jakaś zachęta dla dorastających, jakaś otucha dla upadających w znoju pokoleń? A przecież społeczeństwo ma być także szkołą, wychowującą swe dzieci do służenia ideałom.

Morał odprowadził nas od porządku dziennego, na którym stoi cholera — więc wracamy do niej. Czy mamy zaniechać ostrożności w jedzeniu, piciu wody nieprzegotowanej, dezinfekcyi i tego wszystkiego, co wynika z przykazań Kocha? — zapytacie wobec dowodzeń Pettenkofera. Słyszeliście zapewne, że ludzie połykali arszenik i przebijali sobie czaszkę kulą i mimo to żyli; nikt jednak nie przeczy, że zwykle arszenik w żołądku, a kula w mózgu zabijają, a w każdym razie takich wypadków strzedz się należy. Otóż coś podobnego zachodzi w sporze o cholerę. Chociaż Pettenkofer połknął jej bakterye i wyszedł z doświadczenia cało, nie znaczy to jeszcze, ażeby one były niewinnym artykułem żywności. Powtóre nawet on zachęca do poprawy warunków zdrowotnych, ochędóstwa i wogóle hygieny; bez trudu więc pogodzimy go z Kochem, starając się o czystość i utrzymanie organizmu w sile. O ile zaś oni między sobą się różnią, niech walkę toczą po za nami i my, świadkowie jej, nie potrzebujemy w niej przyjmować udziału, tem bardziej, że nie możemy wpłynąć na jej rezultat, a możemy w niej zginąć.

Nie można powiedzieć, ażeby P. Chmielowski przebył 25-letnią drogę pracy pisarskiej bez szerokiego uznania, ale zdaje mi się, że w nim nie to głównie ceniono, co zasługiwało na szczególne odznaczenie, a często na podziw. Mianowano go estetykiem ze szkoły Taine'a-Brandesa, podczas gdy on styka się z nimi zaledwie w pewnych liniach metody i posiada umysł zgoła odmienny. Taine i Brandes — to uczeni i artyści, Chmielowski—to wyłącznie uczony. Dzieje czynów i myśli ludzkich mogą być przedstawione albo jako kunsztownie malowane obrazy historyczne, niby sceny i postacie powieści prawdziwej, albo jako ściśle określone w swem następstwie, związku i stosunkach szeregi zdarzeń. Który z tych rodzajów posiada wyższą wartość, trudno orzec, gdyż każdy ma na drugim swoją przewagę. Artyzm dziejopisarski daje nam malowidła nieraz fantazyjne, ale barwne, wyraziste, tętniące życiem; skrupulatna badawczość daje sprawozdania suche, ale ściśle i wiernie. Chmielowski, który nie ma fantazyi lub też ją kiełzna mocnemi wędzidłami, w swych pracach nad historyą literatury polskiej nie pragnie wyobraźnią odtworzyć życia ubiegłego, ale przedewszystkiem stara się wydobyć z niego prawdę. Taine lub Brandes, porwani artyzmem, dla nadania jakiemu bohaterowi literatury większego wdzięku lub siły, jeden rys w jego charakterystyce pominą lub

osłabią, drugi — spotęgują; Chmielowski odbija wszystkie z fotograficzną dokładnością. Bo jest on rozumem badawczym, trzeźwym, zimnym, tak zimnym, że nieraz wieją od niego chłody podbiegunowe. Nie znam ani jednej jego pracy, któraby mu wypłynęła z pod pióra lawą. Nawet tak olbrzymi słup ognisty, jak Mickiewicz, zdołał go zaledwie rozgrzać a nie rozpłomienić. Uniesienie bowiem wzlatuje zawsze na skrzydłach fantazyi i wobec rozumu jest zawsze przesadą, która go razi. Nie wynajdziecie zaś w historyi takiego czynu lub postaci, w sztuce — takiego utworu, w nauce — takiego odkrycia, które w was wywołują najwyższy zachwyt, a których ów rozum nie poddałby krytyce. Entuzyazm nie jest tylko wyrazem pojęcia wielkości lub uroku, lecz pewną zdolnością natury ludzkiej, mianowicie natury wrażliwej i uczuciowej. Bierze on całość, która go olśniewa, a od ciemnych punkcików wzrok odwraca. To też rozum nie entuzyazmuje się, a jeżeli nawet podziwia, to zawsze z zastrzeżeniem owych punktów. On nigdy nie zamyka oczu i nigdy nie poddaje się wrażeniu, chociażby najpotężniejszemu. On także nigdy nie prorokuje, nie rzuca światła w przyszłość, bo musiałby przeniewierzyć się swoim zasadom ścisłości. Wróży tylko fantazya, snująca swą przędzę z przypuszczeń, rozum lekceważy domysły i ceni jedynie fakty spełnione. Zwykle ściśli badacze dziejów lepiej pojmują przeszłość, niż teraźniejszość i przyszłość. Pierwsza zawiera już czyny dokonane, w drugiej one dopiero się rodzą, w trzeciej jeszcze się nie urodziły. I Chmielowski też najpewniej i najszczęśliwiej obraca się w zamkniętych rachunkach dziejów literatury; tu stąpa śmiało po mocnym gruncie, który sobie zdobywa nadzwyczajną wiedzą.

Wszelka siła umysłowa posiada wysoką wartość, jeżeli posiada wysoki stopień. Chmielowskiemu przyznać trzeba, że w zakresie tej swojej siły jest umysłem znakomitym, górującym ponad bezskrzydłą fantazyą zlepioną z kulawym rozumem jednych, po nad drobnostkowem ślęczeniem drugich, po nad frazeologią krytyczną innych. Nie jest artystą, nie jest filozofem, ale jest historykiem i erudytą pierwszorzędnym. Dokąd zaprowadzić może trzeźwy, badawczy rozum, olbrzymia wiedza i niezmordowana praca, dotąd on doszedł. Jego prace nie roznamiętniają, nie sypią wokoło iskier, nie rzucają smug czarodziejskiego światła, ale są rzędem silnych murów, które czasowi długo opierać się będą. Każdy przyszły historyk naszego piśmiennictwa zaciągnie u niego dług wdzięczności.

*Poseł Prawdy.*

---

# SPRAWY EKONOMICZNE.

## PLANTATOROWIE BURAKÓW I CUKROWNICY.

### I.

Zwyżka cukru, wywołana przez zgodne działania syndykatu wytwórców, zmusiła pokrzywdzonych spożywców do uderzenia w najgłośniejsze dzwony alarmowe. Wrzawę tę z zimnym spokojem przyjęli cukrownicy i w drodze łaski orzekli, że trzeba będzie ceny poskromić, gdy wzrosną już zanadto. Nawet niektóre pisma, przychylne wzrastaniu dywidendy akcyonaryuszów „słodkiego interesu,“ pomrukiwały sobie: „Co to szkodzi, że tam konsument zapłaci o dwa lub trzy grosze drożej na funcie? Zaoszczędzi na czem innem, ale za to dobrobyt ogólny na tem zyska. Cukrownictwo się spotęguje, pozwoli się rozwinąć licznym gałęziom wytwórczości i przysporzy zajęcia masom robotniczym.“ Inną postać rzeczy przybrał ten *rdzeń dobrobytu*, gdy wrogo usposobieni plantatorowie buraków protest publiczny podnieśli przeciw wyzyskowi cukrowników. Początek zrobił jakiś „Ziemianin“ na łamach *Gazety warszawskiej* i wywołał nadspodziewaną wrzawę. Chciał tylko trochę pokropić szerszenisko, a tu się całe gniazdo poruszyło i zawrzało. Na głos jednego trzmiela plantatorskiego odezwały się inne, a tym jęli odpowiadać przeciwnicy. Faktyczni wytwórcy buraków i pozostający w stanie spoczynku, rafinerzy, czy też akcyonaryusze cukrowniani w przyłbicach sypnęli gradem polemik i dowodów. Gościnne szpalty *Gazety* przepełniły się licznym szeregiem artykułów, zarówno w obronie cukrowników, jak i plantatorów. W powodzi cyfr, nadających się do najrozciągliwszych wniosków nie znaleźlismy nigdzie jawnych źródeł. Jedni mówią o *pewnych* fabrykach lub plantacyach w *pewnych* okolicach; inni znowu na mocy *pewnych* źródeł wypowiadają wnioski piorunujące, odejmują i dodają dowolnie. Stronnicy wytwórców cukru obliczają zyski plantatorów w rozmiarach jaknajwiększych, ci zaś fałsz zarzucają i w swoich rachunkach — odwrotnie — wykazują *maximum* wydajności buraków i wysoki koszt ich plantowania.

W tym chaosie cyfrowym trudno dojść do ładu; poprzestaniemy więc na charakterystycznych wyliczeniach, mniej więcej zgodnych prawie u wszystkich uczestników sporu i zobaczymy najpierw jak się przedstawia ogólnie tło, w oświetleniu sprawców alarmu. Przedewszystkiem — jak wygląda najbardziej znamienny w tej całej sprawie obraz warunków strony zaczepnej. Dopóki między cukrownikami panowało współzawodnictwo, plantatorowie buraków nie narzekali na swe położenie. Gdy zaś pierwsi połączyli się w zwarte szeregi i usypali szańce syndykatu, hodowcy buraków musieli się poddać uciążliwej zależności i surowym warunkom kontraktowym. „Właściciele fabryk cukru — mówi jeden z interesowanych — postarali się usunąć w stosunku z plantatorami wszelką możebną konkurencyę, jako najsilniejszą broń odporną tych ostatnich, a mogącą zawadzać fabrykantom w warunkach zawieranych z plantatorami kontraktów. Przez tajny, a wysoce niemoralny układ, fabrykanci rozdzielili pomiędzy siebie majątki ziemskie, ustanowili wspólną mniej więcej cenę buraków i warunki kontraktów; w ten sposób każdego pojedynczego plantatora oddali na łup pewnej fabryki, a silni przewagą kapitału, solidarnością interesu i ubezwładnieniem plantatora, rozpoczęli dzieło wyzysku i to tem łatwiejszego, że wskutek niekorzystnych urodzajów w latach ostatnich, nizkich cen zboża i znacznego zmniejszenia się zamożności rolników, plantator z konieczności przyjąć musi narzucone mu warunki.“

Wszyscy wogóle hodowcy buraków prawie jednozgodnie narzekają na charakterystyczny, wielce dla nich niekorzystny sposób przyjmowania produktów surowych przez cukrownie. Dawniej przy systemie parowym fabrykacyi, buraki dawały zaledwie połowę obecnej ilości cukru. Za korzec 200 funtów wagi płacono 1 rs. 20 kop.; zastrzegano przy tem w kontrakcie, ażeby na nawozach i nowinach ćwikły nie sadzono. Plantator w dodatku otrzymywał pewien procent wytłoków, jako wyborną paszę dla inwentarza. Obecnie za korzec ważący 300 funtów plantator pobiera z dostawą 90—95 kop.; fabryki wymagają, ażeby buraki były sadzone na nawozach. Jeden korzec daje przeciętnie 35 funtów cukru, wytłoki zaś, skutkiem zmian fabrykacyi tak małą dla gospodarza posiadają dziś wartość, że tylko przy bardzo nizkich kosztach dostawy spożytkować je można. Tym czasem ogólne położenie ziemian pogorszyło się, a koszt uprawy buraków wzrósł znacznie. Gospodarstwa, w których ten produkt do płodozmianu wprowadzono, stanowią typ odrębny. Buraki zajmują tam miejsce wyjątkowe, ze szkodą innych ziemiopłodów. Wymagają one wielkich zabiegów, kosztów, zwiększonej liczby rąk roboczych, a co najważniejsza — są bardzo wrażliwe na wszelkie nieprzyjazne warunki atmosferyczne. Produkcya buraków wymaga nadto kosztowniejszych narzędzi rolniczych, lepiej karmionego inwentarza, silniejszego użyźniania, a co za tem idzie trzymania znacznej liczby bydła dla wytwarzania nawozu. Dobry urodzaj wynagradza tę pracę i nakład wielki, ale taki stan pomyślny bezwzględnie, to niemal główna wygrana na loteryi. Cukrownicy nabywają odmiany nasion buraczanych tylko o wysokiej procentowości cukru i udzielają je plantatorom. Gatunki te potrzebują nadzwyczaj starannej uprawy, bardzo żyznej ziemi i wyjątkowo przyjaznych warunków atmosferycznych. Plantator zmuszony kontraktem do przyjęcia odmian zalecanych, nie śmie robić wyboru, korzystniejszego dla siebie. Fabrykanci dają zaledwie 25 funtów na morg, tymczasem praktyka dowiodła, że taka ilość jest za mała, więc plantatorowie muszą dokupowywać nasiona z fabryki w stosunku 5—15 funtów na morg, za które oddzielnie płacą i to znacznie drożej niż cukrownicy wytwórcom ziarna. „Produkcya buraków — pisze jeden z plantatorów — stała się przymusem prawie dla tych wszystkich, którzy ją raz do swych gospodarstw wprowadzili; tembardziej, że i cukrownie ze swej strony postarały się, aby ten przymus utrwalić. Muszą więc plantatorowie, pomimo małych realnych zysków, ciągnąć dalej tę taczkę, gdyż porzucając buraki, wywołaliby kompletny przewrót w swoich gospodarstwach i naraziliby się czasowo na wielkie straty.“

Jeszcze jeden ważny warunek: Plantatorowie skrępowani są zaliczkami, które udzielają im fabrykanci z potrąceniem dość znacznego procentu. Rolnik właściwie zaciąga pożyczkę u swego odbiorcy kilka razy do roku, w chwilach największych nakładów w gospodarce. Rzecz prosta, iż takie *forszusy* są nieraz dla nich zbawieniem, nie tylko bowiem podtrzymują uprawę buraków, ale wogóle całą maszyneryę gospodarską. Bez takiej pomocy niejeden z ziemian stoczyłby się szybko do przepaści bankructwa. Otóż takie zaliczki uzależniają jeszcze bardziej plantatora względem cukrownika, a odliczany procent powiększa koszt produkcyi. Na zbyt wielką skalę owych odsetek nieraz narzekali plantatorowie w korespondencyach, a w prowincyach czarnoziemnych zdarzało się nam słyszeć uskarżanie się hodowców buraczanych na „procenty lichwiarskie,“ pobierane za te „dobroczynne zaliczki.“ Kto się raz w nie zaprzągł, ten już nigdy się nie uwolni; przeciwnie — będzie grzązł coraz głębiej i mięknął na dyktowane warunki przez właścicieli cukrowni.

Po zatem wszystkiem jest wielce charakterystyczna zasada obrachowywania wartości i wagi buraków podczas przyjmowania ich do fabryk. Plantatorowie użalają się, iż fabrykanci „dowolnie“ strącają procenty na nieczystość i niedokładnie ważą produkty. Owe odliczania wynoszą 3-4-5%, a nawet i więcej, podczas gdy, zdaniem plantatorów, potrącenie 1% lub najwyżej 2% najzupełniej normalne zanieczyszczanie pokrywa. Większą jeszcze krzywdę wyrządza złe ważenie. Cukrownie przy wagach setnych nie używają ciężarów mniejszych niż ½ funta. Wszystkie zatem ładunki buraków, których ciężar wynosi 1—49 f. nie liczą się i — odwrotnie, tara wozów przechodząca 1 funt, powiększa się o 50 funt. Ułamki te na każdym wozie buraków stanowić mogą około 100 funtów. Oficyalista ważący, bezpośrednio zaś interesowany, nigdy się nie omyli na niekorzyść swego pracodawcy, cukrownika. Często idzie na karb

pośpiechu dużo przekroczeń, które tylko na sumę zasług oficyalistów mogą być zaliczone. Do wagi centymalnej, dowodzi jeden z interesowanych, w żadnej fabryce nie są używane „gwichty“ drobniejsze, wykazujące mniej niż sto funtów, albo też wprowadzane są „jedynie pod silnym naciskiem plantatora.“ Podobno oficyaliści nie tylko są odpowiedzialni za ilość odebranych buraków, ale nawet w niektórych fabrykach za przewyżkę oddzielne pobierają wynagrodzenia. Często się zdarza rozmyślne ograniczanie miejsc wagi, gromadzenie wskutek tego przy niej znacznej liczby fur i zatrzymywanie zbyt długie. Wszystko to wielce utrudnia dostawę, stwarza zamęt, podczas którego najłatwiej o nadużycia, i niepomiernie koszty transportu zwiększa. Ponieważ przeważna liczba cukrowni nie posiada dróg dobrych, więc i to zwiększa koszt dostawy plantatorom odległym o wiorst kilkanaście od fabryki. Przeciętnie dowóz korca buraków do cukrowni wynosi 20 kop. Ogólną zaś stratę średnią na korcu skutkiem powyżej wyłuszczonych nieprzyjaznych warunków, plantatorowie obliczają na 7%.

Takie są ogólne waranki plantatorów, zarysowane tu przez nas na mocy skarg i wyliczeń korespondentów. Trzymając się zasady: *Audiatur et altera pars*, zanim przyjdziemy do wniosków osobistych, zobaczymy w dalszym ciągu, jakiej broni na usprawiedliwienie się używają zaatakowani cukrownicy i następnie rozpatrzymy żądania hodowców buraków, tudzież ich środki wyłamania się z zależności fabrykantów.

*Drog.*

## PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

**Syndykat naftowy.** Wielkie wrażenie wywołała w świecie przemysłowym wieść (nieobojętna także dla spożywców) o tworzeniu się syndykatu naftowego. Do związku należeć będzie osiem firm najwybitniejszych w Baku, z Noblem i Rotschildem na czele. Oto warunki sprzymierzeńców wielkoprzemysłowych: Wszyscy wytwórcy naftowi od 13 stycznia 1893 r. mogą wejść w ugodę z owemi firmami. Wstępujący do syndykatu określają swoją produkcyę albo w stosunku 50% wyprodukowanej w r. 1891 nafty, albo 20% maxymalnej produkcyjności ich zakładów. Gdyby było możliwe zaopatrzenie rynków wewnętrznych w większą ilość towaru ponad projektowaną normę — przewyżkę wolno podzielić pomiędzy osobnymi kontrahentami, stosownie do ich produkcyi. Do syndykatu wchodzić mogą także osoby, pragnące oddać swe zakłady w dzierżawę lub do wyrobienia. W tym ostatnim wypadku otrzymują gotową naftę i wynagrodzenie: albo 25 kop. od puda z prawem do zysków syndykatu, albo jednorazowo 5 kop. od puda. Przy tem wszystko, co pozostaje, z wyjątkiem ilości, potrzebnej na opalanie zakładu, stanowią własność syndykatu. Jeżeli w zakładzie naftowym wziętym w dzierżawę lub do wyrobienia, zmniejszona będzie lub całkowicie na pewien czas zawieszona produkcya — właściciel otrzyma wynagrodzenie, stosownie do umowy, za całą naftę niewyprodukowaną. Handel naftą w Rosyi całej ma być pozostawiony wyłącznie towarzystwu „Nobel,“ a interes eksportowy — jedynie firmie „Rotschild.“ Cała wytworzona ilość nafty dostarczana będzie delegacyi, wybranej przez firmy zjednoczone; obowiązkiem jej ma być wyznaczanie właściwym fabrykom materyału surowego, normowanie cen itd. To ostatnie zadanie jest właściwym celem konwencyi. W planie umowy ustanowiono już cenę nafty na 6 kop. za pud, podczas gdy jej koszt obecny wynosi $1\frac{1}{4}$—$2\frac{1}{2}$ kop., a cenę „kerosiny“ — na 23—25 kop., zamiast dotychczasowej — 7 kop. na miejscu. Przy produkcyi przeciętnej 300 milionów pudów rocznie, różnica ta przyniesie stowarzyszonym 15 milionów rubli więcej, wydartych z kieszeni spożywców. Zysk ten nie będzie odrazu rozdany uczestnikom syndykatu, lecz tylko część jego w postaci dywidendy, reszta przeznaczona będzie na kapitał rezerwowy, do którego wpływać mają również kary za niedotrzymanie warunków umowy (kupno i sprzedaż po za syndykatem, oddawanie produktu po cenach niższych, niżeli umowa nakreśla). Przy tej sposobności notujemy jeszcze jeden, bardzo ważny dla spożywców szczegół: Według doniesień *Birż. Wied.*, rada państwa bez żadnych zastrzeżeń zatwierdziła projekt ministeryum skarbu podwyższenia akcyzy od nafty z dniem 13 stycznia r. 1893.

**Handel zbożowy.** Niedawno *Now. Wr.* ogłosiło ciekawą charakterystykę produkcyi rolniczej i handlu zbożowego w Królestwie Polskiem. Ze źródła tego czerpiemy kilka znamiennych rysów, jako przyczynek do położenia ekonomicznego kraju. Korzystając z podniesienia się cen na rynkach zagranicznych, firmy tutejsze wysłały tam około 12 milionów pudów zboża. Wogóle atoli zwiększenie wewnętrznego popytu znacznie się przyczyniło do ograniczenia wywozu. Przypisać to należy głównie ciągłemu wzrostowi gorzelnictwa tudzież rozwojowi przemysłu kruszcowego, węglowego i bawełnianego w Królestwie Polskiem. Wzrost ludności roboczej wywołał konieczność otwarcia mnóstwa piekarni w rozmaitych miejscowościach kraju, tudzież przyczynił się do rozwoju przemysłu młynarskiego. W ostatnich latach przerabiano na mąkę w Królestwie rocznie około ośmiu milionów pudów. Do wzrostu młynarstwa między innemi przyczyniła się ta okoliczność, że przy wielkiem cle od zboża i mąki w Rosyi było rzeczą bardzo ryzykowną wysyłanie na rynki niemieckie znacznych zapasów otrąb z ogromną domieszką procentową mąki. Przeciętny sprzęt zboża na każdego mieszkańca w Królestwie Polskiem jest daleko mniejszy, aniżeli w wewnętrznych guberniach Cesarstwa. W miejscowościach na lewym brzegu Wisły, zaludnionych bardzo gęsto, na jednego mieszkańca przypada nadzwyczaj mało zboża. Prawda, że głównym artykułem pożywienia miejscowej ludności są kartofle, pomimo to, zboża zwykle nie wystarcza na pokrycie wszelkich potrzeb, skąd wynika konieczność dowozu z gub. południowo-zachodnich i innych. „Intendentura warszawska — pisze *Now. Wr.* — zakupująca od r. 1889 zboże systemem gospodarczym, zmuszone jest nabywać je w Odesie, Smoleńsku i bardziej oddalonych guberniach Cesarstwa.“ Ceny zboża na rynku warszawskim (z wyjątkiem zeszłego roku nieurodzajnego) są zawsze wyższe, aniżeli na rynkach ruskich. Ponieważ od r. 1889 opłatę za przewóz zboża kolejami do Warszawy znacznie zniżono, więc w ostatnich latach dowóz zboża i mąki z wewnętrznych i południowych guberńij przybrał berdzo znaczne rozmiary. Z Królestwa Polskiego na wszystkie rynki wewnętrzne Cesarstwa wysyłany jest tylko jęczmień, którego produkcya wielce tu się wzmogła, a jego dobroć zwiększa popyt. Przed wprowadzeniem w Niemczech ceł od zboża ruskiego, rolnicy z Królestwa starali się wszelkimi sposobami rozszerzyć przestrzeń zasiewów żyta i pszenicy, te właśnie produkty cieszyły się w Niemczech ogromnym odbytem. Żyto nabywano dle Niemiec, pszenicę odprzedawano anglikom. Od chwili zaś wprowadzenia wzsokich ceł, rolnicy miejscowi zaczęli uprawiać głównie jęczmień. W ostatnich latach zbierano w Królestwie Polskiem przeszło 26 milionów pudów pszenicy, około 50 mil. p. żyta, przeszło 21 mil. pudów owsa i około 11 mil. p. jęczmienia (w cyfry te nie wchodzą ilości, użyte na zasiewy). Najwięcej zebranego w Królestwie jęczmienia zakupują miejscowe browary, których Królestwo posiada 260 z produkcyą 7,372,000 wiader piwa. Według danych *Now. Wr.*, za granicę z Królestwa wywożone jest zboże folwarczne; włościańskie zaś idzie wyłącznie na zaspokojenie potrzeb miejscowych.

**Ryby.** Stała zwyżka cen mięsa w Wiedniu tudzież innych miastach austryackich, przyczyniła się w ostatnich czasach do rozejrzenia się w handlu rybnym. Otóż przekonano się, że Austrya, mająca Adryę i rzeki rybne, wcale nie posiada w tym zakresie zorganizowanego handlu. Węgry, Czechy, w części zaś także Galicya, mają zasobne gospodarstwa rybne. Z Tryestu i Hamburga okręty i koleje mogą dowozić ten produkt dwa razy dziennie, ale brakuje... wagonów lodowych. Zupełnie inny stan rzeczy panuje w Niemczech. W Hamburgu i Gestemünde odbywa się olbrzymia sprzedaż ryb morskich i rzecznych, rozchodzących się wszędzie. W r. z. na samych „aukcyach“ sprzedano w Hamburgu 25,039,661 funtów ryb, przeciętnie po 26 fen. za funt. Z Gestemünde zaś wychodzi stale 30 okrętów rybnych. Tymczasem z Tryestu (na Südbahnie) nie chodzi ani jeden wagon z rybami; zaledwie skrzynie dla handlarzy delikatesów. Wobec tego dziwić się nie można, że Tryest z każdym rokiem upada. W Wiedniu nikt nie ma pojęcia o przyrządzaniu ryb morskich i rzecznych, z pozbawieniem przykrego smaku tranowego lub błotnego. W Niemczech ryby są jednym z głównych pokarmów we wszelkich zakładach cywilnych i wojskowych, nawet w więzieniach. W Anglii również produkt ten ma olbrzymi odbyt; sam Londyn spożywa dziennie *trzy miliony* centnarów ryb morskich. Na kolei Great North Scotlant ciągle krąży 200 wagonów rybnych. To samo ożywienie handlu rybnego na półwyspie Skandynawskim. Obecnie ujawniło się ogólne żądanie, ażeby magistrat Wiednia urządził hale ryb we wszystkich dzielnicach, w Tryeście zaś — hale i „aukcye.“ Nadto położono nacisk na potrzebę wagonów rybnych i konieczność organizacyi towarzystw właściwych. Nasze dwie spółki rybne, którym można wróżyć pomyślną przyszłość, niewątpliwie z czasem rozwiną szeroką działalność. Dziś już jedna z nich wysyła towar za granicę. Otóż dla ich własnego pożytku pożądane byłoby obeznanie się z produkcyą i handlem rybnym za granicą, tudzież z potrzebami rynków tamtejszych.

**Dąbrowa Górnicza.** Od r. 1876 nadzwyczaj szybko wzrasta ludność tego ogniska wzmagającej się produkcyi wielkoprzemysłowej. Dziś liczy ono już około 16,000 mieszkańców, składa się zaś z kilku kolonij górniczych, które obecnie połączyły się już w jedną wielką osadę, sięgającą jednem ramieniem do m. Będzina, liczącego 7,000 ludności. W ostatnich latach przybyło Dąbrowie w różnych punktach 60 piętrowych kamienic, które jednak pod względem zdrowia i wygód bardzo są liche. Wogóle warunki sanitarne osady stale się pogarszają, w czem niepoślednią gra rolę brak wody, zdatnej do picia. Znika ona coraz bardziej przez osuszenie wnętrza ziemi. Ospa, tyfus i inne choroby zakaźne prawie są stałe. Miejscowe stowarzyszenie spożywcze, założone w r. 1888 z kapitałem 3,000 rs., posiada obecnie olbrzymi magazyn w Dąbrowie i filie na kolonii „Reden“ i „Niwka,“ tudzież obraca kapitałem wynoszącym już 300,000 rs. — Liczba kopalni węgla, czynnych w Królestwie Polskiem 1891 r., wynosiła 21, z tych w dwóch wydobywano węgiel brunatny. Wydajność kopalni była o 8,121,278 pudów większa, niż w r. 1890. Pierwsze miejsce zajmują należące do t. zw. Towarzystwa sosnowickiego, z których wydobyto 51,215,963 pudów, czyli prawie o 5 milionów więcej, niż w roku poprzednim. Drugie miejsce zajmuje dąbrowskie pp. Plemiannikowa i Riesenkampfa, dzierżawione przez Towarzystwo francusko-włoskie (w r. z. 32,321,813 p.). Dalej kopalnie Towarzystwa warszawskiego (22,157,986 p.), sieleckie, należące do Towarzystwa przemysłowo-górniczego „hr. Renard“ (17,565,326 p.), „Michał“ i „Ernest“ pod osadą Czeladź, stanowiące własność t. zw. czeladzkiego towarzystwa bezimiennego (9,875,254), wreszcie „Wiktor“ pod wsią Milowice, należąca do p. Kuźnickiego (9,274,194 p.). We wszystkich kopalniach pracowało w 1891 r. o 1,755 robotników więcej, niż w r. 1890. — Huta „Katarzyna“ w Sielcu wykończa obecnie nową stalownię. Zwiększy się zatem liczba robotników, ale pomimo to jakoś nie słychać o zwiększeniu liczby pomieszkań dla nich, pomimo iż z rokiem każdym brak odpo-

wiednich lokalów i ich wzmagającą się drożyznę coraz dotkliwiej odczuwają warstwy robotnicze.

— Minister dóbr państwa złożył do uznania ministeryum skarbu podanie chmielarzów wołyńskich w sprawie utworzenia dla nich kredytu krótkoterminowego z oddziału żytomierskiego Banku państwa, tudzież z kas skarbowych w Dubnie, Równie i Łucku na zastaw plantacyi chmielu, oraz materyałów i narzędzi do uprawy.

— Za staraniem pp. Antoniego Bronikowskiego i Władysława Załęskiego tworzy się w Warszawie spółka pasiecznicza na zasadzie firmowo-komandytowej. Zadaniem jej będzie zakładanie pasiek w różnych miejscowościach Królestwa Polskiego tudzież urządzenie jarmarków na produkty pszczelnicze. Kapitał wyniesie 60,000 rs. w udziałach 500-rublowych.

— Tegoroczny urodzaj bawełny w Ameryce jest taki lichy, jakiego nie pamiętają od r. 1860.

— *Grażdanin* zapewnia, iż w razie gdyby się okazał w której gubernii brak zboża, rząd zajmie się sam dostawą ziarna, aby uniknąć nadużyć, wypływających z pośrednictwa dostawców prywatnych.

— Spółka handlarzów trzody chlewnej wraz z handlarzami i hodowcami w Besarabii i Rumunii, stara się o urządzenie centralnego targu w Warszawie. Na budowę hal targowych upatrzyła place na prawym brzegu Wisły za mostem kolei Nadwiślańskiej. W tym celu zadeklarowała złożyć 500,000 rs.

### Z rynku.

**Ruch towarowy**. W ostatnich paru tygodniach panuje ogromne ożywienie na kolei Terespolskiej. Po kilkomiesięcznem sparaliżowaniu handlu przez epidemię, dopiero w obecnej chwili nadchodzą znaczne transporty towarów z portów wołżańskich. Z Saratowa, z którym od lipca dotąd żadnej styczności handlowej nie było, nadeszły pierwsze przesyłki. Z powodu zwiększonego ruchu, magazyny towarowe i platformy stacyi terespolskiej są przepełnione ładunkami. Od 3 do 5 pociągów dziennie przybywa z towarami z Cesarstwa. Urzędnicy wydziału ekspedycyi nie mogą podołać nawałowi pracy i skutkiem ograniczonej liczby personelu, żadnej pomocy nie otrzymują.

**Targi warszawskie** 28 i 29 listopada. *Plac Witkowskiego.* Za pszenicę (której dowieziono tylko 600 korców), płacono: za wyborową 6,25 (korzec), białą 6—630, pstrą 5,75. Żyto (1200 korców): popyt miało tylko wyborowe; płacono po 4,80—4,95. Owies (600 korców) 2,70—3,15, stosownie do gatunku. Jęczmień żadnego nie miał powodzenia. *Na Pradze.* Usposobienie słabe i zniżkowe. Żyto wyborowe 83—84 kop. (pud) średnie 81—82, pospolite 79—81. Owies ze słabym popytem: wyborowy 89—93, średni 81—87, pospolity 76—81. Gryka słabo: 95—98 kop. Jęczmień dobry browarny 85—90. Kasza jaglana 96—104 k.

— Z dn. 29 listopada cena chleba pytlowego w Warszawie spadła o kopiejkę na bochenku trzyfuntowym (11 kop.).

**Okowita**. Hurtowa wiadro 100° brutto z potrąc. 2% 11,03, netto bez potr. 10,81, wiad. 78° br. z potr. 8,60, n. bez potr. 8,43. Szynkowa wiad. 100° br. z potr. 2% 11,18, n. bez potr. 10,96: wiad. 78° brutto z potr. 8,72, n. bez potr. 8,54.

*Odesa.* Stan rynku zbożowego niepomyślny, ospały. Ceny niskie. Świetne interesy robią tylko młyny; skupują zboże nadzwyczaj tanio, a mąkę sprzedają potem drogo.

## KRONIKA.

**Sprawy społeczne**. Odpowiedzialność kantorów stręczeń służących, oficyalistów, nauczycieli i nauczycielek, będzie znacznie powiększona. W razie zawodu, wynikłego z błędnej rekomendacyi, kantor pociągany będzie do pokrycia wszelkich strat, poniesionych przez osoby interesowane (*Kuryer warsz.*).

— Dla rozwinięcia działalności laboratoryum chemicznego, p. oberpolicmajster warszawski zamierza powiększyć personel o jednego lekarza bakteryologa tudzież podnieść płacę chemikowi i jego pomocnikowi.

— *Warsz. Dniew.* pisze: „Ze względu na rozmaite bezzasadne pogłoski obiegające po mieście, donoszą nam, że bohater procesu o zabójstwo artystki Wisnowskiej, Bartieniew, służy obecnie jako szeregowiec na Kaukazie, w Twerskim pułku dragonów, a trzymany w najsurowszym rygorze, znajduje się po za obrębem wszelkich stosunków z towarzystwem oficerów rzeczonego pułku."

— Z ogólnej liczby wysiedlonych „pobytowych," którzy zaludniali przedmieście Łodzi, Bałuty, było 38 chrześcian, 19 żydów (51 mężczyzn 6 kobiet).

— Warszawski urząd lekarski wydał cyrkularz do właścicieli aptek, przypominający, że uczniom, którzy nie przebyli w jednej aptece pół roku, tudzież tym, którzy mieli przerwę w zajęciach aptekarskich więcej niż przez jeden rok, czas ten wcale się nie będzie liczył do okresu, obowiązującego dla otrzymania stopnia pomocnika aptekarskiego i że pomocnicy tudzież prowizorowie przy obejmowaniu obowiązków w aptekach powinni koniecznie przedstawiać świadectwo policyjne o nienagannem prowadzeniu się w czasie pracy w aptekach.

— Od 11 do 20 grudnia w resursie obywatelskiej otwarty będzie „Jarmark" gwiazdkowy, na dochód ubogich pod opieką warszawskiego Towarzystwa dobroczynności.

— Na r. 1893 wyznaczono trzy terminy egzaminów (w marcu, czerwcu i październiku) dla osób, wstępujących do wojska w charakterze ochotnika 2-ej kategoryi.

— Ministeryum sprawiedliwości zażądało od wszystkich izb sądowych i sądów okręgowych wiadomości o warunkach wyżywienia w danym okręgu. Etaty wypłacane obecnie pracownikom sądowym w wielu miejscowościach są niewystarczające z powodu drożyzny. Skutkiem tego ministeryum zamierza podzielić etaty sędziów na trzy kategorye i tam, gdzie artykuły żywności są bardzo podrożały — podwyższyć płacę. Zażądano nadto od prezesów izb sądowych i sądów okręgowych oznaczenia *maximum* etatu według ich własnego zdania. Wiadomości powinny być przesłane do ministeryum przed 27 grudnia.

— Na utrzymanie inspekcyi fabrycznej w r. 1893 wyznaczona będzie suma 126,986 rs. Na zapomogi zaś dla towarzystw akcyjnych — 1,450,393 rs.

— Do jednego z sądów pokoju w Warszawie wniesiono 60 spraw przeciwko nieakuratnym dłużnikom, zalegającym w opłacie rat w kasach pożyczkowo-rzemieślniczych. Są zaległości z lat 1887, 86, 85, a nawet i 84 r.

— W Paryżu robotnicy masarscy urządzili strejk, który przybrał szerokie rozmiary. Żądają oni najmniej 40 fr. płacy tygodniowej.

— Żydzi odescy otrzymali wezwanie od niejakiego Silvia z m. Undine we Włoszech, ażeby emigrowali do Brazylii nie zaś do Argentyny. Autor odezwy, podający się za generalnego agenta rządu brazylijskiego na całą Europę, objaśnia, iż wszyscy izraelici, pragnący wyjechać do kraju zalecanego, powinni opłacić podróż tylko do Włoch, skąd już będą wysyłani do nowego świata na koszt rządu brazylijskiego. Po przybyciu na miejsce każdy z wychodźców dostanie tyle ziemi, ile będzie mógł jej uprawić. Wychodźcy zaś posiadający jakąkolwiek specyalność, nie będą potrzebowali porzucać jej dla rolnictwa, gdyż rząd każdemu emigrantowi dostarczy pracy i środków do utrzymania. Powtarza się więc na nowo zapuszczanie sieci, ale już na rybę innego gatunku.

— Ogłoszono urzędownie, iż osobom pozostającym pod dozorem policyjnym nie wolno: 1) trudnić się nauczycielstwem, 2) przyjmować uczniów na naukę sztuk i rzemiosł, 3) urządzać publicznych odczytów, 4) uczestniczyć w publicznych zebraniach naukowych, 5) w widowiskach scenicznych, 6) utrzymywać litografii, drukarni, zakładów finansowych i bibliotek, 7) prowadzić handlu książkami, tudzież wszelkimi przedmiotami w zakres prasy wchodzącymi, 8) wreszcie nie wolno utrzymywać restauracyi i handlów trunkami.

— Przy ministeryum spraw wewnętrznych utworzono komisyę, która się zajmie przejrzeniem przepisów o żebractwie i dobroczynności publicznej.

— W ostatnich czasach zwrócono baczną uwagę na działalność faktorów i rajfurów obojga płci, pośredniczących w interesach cudzych. Do tego rodzaju zaliczane są osobnicy, obchodzące hotele, celem ofiarowania swych usług przyjezdnym, pokątni agenci, tudzież komisyonerzy nie opłacający żadnych podatków i nie wykupujący świadectw handlowych, wreszcie stręczyciele i stręczycielki sług. Wszystkie te osoby będą pociągane do surowej odpowiedzialności karnej.

**Sprawy kolejowe**. Przy zapowiadanej z początkiem r. p. zmianie w ustroju ogólnym administracyi kolei Wiedeńskiej przez przyłączenie niektórych biur do rady zarządzającej, między innemi dzisiejszy wydział rachuby podzielony będzie w ten sposób, że właściwa buchalterya stanie się wydziałem dyrekcyi kolei, a rachuba przyłączona będzie na równi z kontrolami do biura rady zarządzającej. Z wprowadzeniem tej zmiany biuro kontroli materyałów drogowych, stanowiące dotąd osobny wydział, zniesione będzie przez przyłączenie jego czynności w części do wydziału gospodarczego i rachuby. W dalszym ciągu zamierzone jest przyłączenie wydziału telegraficznego do mechanicznego, pod specyalnym jednak kierunkiem starszego rewizora telegrafu.

— Wyznaczona w etacie kolei Wiedeńskiej na rok bieżący gratyfikacya dla urzędników i służby w sumie 100,000 rs., wypłacona będzie w b. m.

— Po nowym roku belgijskie Towarzystwo tramwajowe wykupi linię kolei konnej od dworca petersburskiego do wiedeńskiego.

**Szkoły**. W uniwersytecie warszawskim ogólna liczba słuchaczów na wszystkich wydziałach wynosi 1185 czyli o 147 mniej niż w r. z. Na wydział historyczno-filologiczny zapisało się 35 (w r. z. 44), fizyczno-matematyczny 129 (w r. z. 144), prawny 333 (w r. z. 371), medyczny 584 (w r. z. 604), wydział farmaceutyczny 97 (r. z. 103). Wolnych słuchaczów 7 (r. z. 6).

— Dotychczasowy system przyjmowania młodzieży na praktykę gospodarczą ulegnie zasadniczej zmianie. Kontrolę w tym zakresie rozciągnie instytut agronomiczny w Nowej-Aleksandryi. Dotyczy to praktykantów, bezpłatnych lub płacących za naukę, wynagrodzani bowiem przez pracodawców uważani będą za oficyalistów. Każdy właściciel ziemski, życzący mieć praktykanta, musi nadal wyjednać osobne pozwolenie, które udzielane będzie tylko rolnikom, prowadzącym gospodarstwo wzorowo.

— Na posiedzeniu koła wiedeńskiego Sokołowski krytykował budżet ze względu na Galicyę i twierdził że szkoły fachowe są zaniedbane. Żądał także reformy szkół średnich, a szczególnie ograniczenia nauki języka greckiego. Ks. Chotkowski wymagał, ażeby w szkołach ludowych rozdzielono dzieci chrześciańskie od inowierców, Włościanin Potoczek wniósł, ażeby w szkołach średnich zniesiono opłaty, gdyż i tak płaci się dosyć podatków za szkoły.

— Galicyjski wydział krajowy wyznaczył 4,130 złr. jako zasiłki na budowę szkół ludowych, dalej 7,000 złr. z funduszu uchwalonego przez sejm jako zasiłki bezzwrotne na budowę szkół i 16,800 złr. jako zasiłki zwrotne bezprocentowe na ten sam cel.

**Zdrowie publiczne**. Stan zdrowotny gub. łomżyńskiej jest niepomyślny. Od 13 czerwca do 1 października zmarło tam na ospę 273 osoby, na dysenteryę 179, tyfus 123, szkarlatynę 74, dyfteryt i krup 67, odrę 30, koklusz 20, karbunkuł 2. W Nasielsku cholera panuje od 12 października. Choruje wyłącznie ludność żydowska, umiera 1/4 chorych.

— W przewidywaniu epidemii z wiosną r. p., ustanowiono w Warszawie osobną komisyę pod przewodnictwem senatora Medema. Do udziału w pracy zaproszono prezydenta miasta.

— Na utrzymanie stałego lekarza dla personelu zarządu miejskiego, p. prezydent żąda wzniesienia do budżetu miasta 500 rs. rocznie.

— Mieszkańcy Nadarzyna w pow. błońskim pozbawieni są lekarza. Okolica bardzo ludna może zapewnić dobre utrzymanie lekarzowi.

**Literatura i sztuka**. W salonie spółki artystów przy ul. Nowy-Świat otwarto doroczną wystawę szkiców tudzież przedmiotów sztuki stosowanej.

— Termin konkursu ministeryum dóbr państwa na rozprawę o istocie jadu rybiego, o środkach ochrony od niego ryb, tudzież o sposobie leczenia ludzi, przez ryby zarażonych, upływa 12 stycznia r. p. Nagroda 5000 rs.

— W Krakowie artyści: Tadeusz Błotnicki i Ludwik Stasiak, otwierają szkołę rysunków i malarstwa dla kobiet.

— Od 1 stycznia r. p. zacznie wychodzić w Krakowie pismo fachowe pedagogiczne p. t. *Poradnik dla rodziców.*

**Bibliografia**. Dr. W. Wicherkiewicz, *Nauki o gospodarstwie domowem i społecznem* (według F. Kallego), str. 74, Warszawa.

— A. Pawiński, *Młode lata Zygmunta Starego*, str. 291, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— H. B. Gausseron, *Życie we dwoje* przekł. z franc., str. 224, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— F. J., *Tajemnice magii i spirytyzmu w świetle nauki*, str. 260, Warszawa, Paprocki.

— K. Gliński, *Splątane nici*, szkice i obrazki, str. 401, Warszawa, Paprocki.

— A. Dygasiński, *Garstka*, zbiór nowel, obrazków i studyów, str. 347, Warszawa, Paprocki.

— J. Drozdowski, *Uwagi nad mechanizmem gry na fortepianie*, str. 62, Kraków.

---

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

---

*Oczekującemu.* Wszystko to wielokrotnie już wypowiedziano.

*Meteorowi.* Nie.

*P. Wacławowi C. w Kijowie.* I Pan sądził, że to możliwe?

*P. A. Gurl. w Odesie.* Posyłamy żądane książki za pobraniem pocztowem, oprócz atlasu, który (najtańszy) kosztuje rs. 3 k. 50. Czy wysłać?

*Panu Feliksowi Piotr.* Skoro w pracach ludzi zajmujących się *specyalnie* sprawą człowieka przedhistorycznego u nas nie znajduje Pan rozwiązania zajmującej go kwestyi, to nie pozostaje nic innego jak przedsięwziąć badania na własną rękę, tak przez krytyczny rozbiór badań dotychczasowych, jako też przez własne poszukiwania w jaskiniach. Wskazówki pod tym względem może Pan znaleźć w dziele Kaltbrunnera „Der Beobachter," wydanem w Zürichu.

---

Do niniejszego numeru dołącza się prospekt **Rolnika i hodowcy** dla abonentów prowincyonalnych.

---



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 20 Ноября 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.